PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

NR 11 (1906) ● 2 VI 1991 ● CENA 2500 ZŁ

- "JUNIOR" – CD. SPRAWY G. PRZEMYKA
- "STAN KRYTYCZNY" – SYTUACJA NA DROGACH
- O WIĘŹNIACH, "KLAWISZACH" I POLICJANTACH
- ZBRODNIA LICEALISTKI
- PIRACTWO SATELITARNE
- ZABÓJSTWO JANA GERHARDA

11 1991

zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

STAŁYM TWOIM CZASOPISMEM
GAZETA policyjna

Papież po raz czwarty gości w naszym kraju. Wizyta ta nie ma odniesienia do żadnej oficjalnej wizyty głowy państwa ani do masowej imprezy. Od dłuższego czasu w resorcie spraw wewnętrznych trwały przygotowania do zapewnienia bezpiecznego przebiegu pielgrzymki. Postanowiliśmy za pośrednictwem „Magazynu Kryminalnego 997" przekazać czytelnikom informacje na ten temat z pierwszej ręki, o rozmowę poprosiliśmy szefa sztabu, podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych JERZEGO ZIMOWSKIEGO.

współczesnego świata 13 maja 1981 r. na placu Świętego Piotra w Rzymie, później niedoszły seminarzysta kardynała Lefebvre'a próbował zamordować papieża w Fatimie, w Portugalii. Po raz trzeci złapano zamachowca podczas podróży Jana Pawła II do Australii w 1986 r.

Fakty zamachów spowodowały niewątpliwie zaostrzenie wymogów w odniesieniu do zapewnienia bezpieczeństwa papieżowi. Z drugiej strony, zdajemy sobie sprawę z tego, że Jan Paweł II swoim niekonwencjonalnym zachowaniem utrudnia życie ochronie. Jedną z zasad bezpieczeństwa jest utworzenie martwego pola, które dzieli papieża od tłumu. W sytuacji, gdy ktoś usiłuje złamać tę regułę, do akcji wkraczają ochroniarze. A co mają czynić, gdy nieznajomym osobom rękę podaje papież?

ZZA KULIS PAPIESKIEJ WIZYTY

— Już na wstępie naszej rozmowy muszę zastrzec, że nie podzielę się z panami żadną sensacją, na które czyha prasa, gdyż takiej nie ma. Zresztą w żmudnej pracy sztabowców nie ma nic sensacyjnego, wystarczy przeczytać pamiętniki wielkich dowódców.

— Winni jednak jesteśmy czytelnikom przedstawienie najistotniejszych zadań, jakie miał do spełnienia sztab.

— Decyzją ministra spraw wewnętrznych 18 października ub. r. powołano sztab, którego członkami zostali przedstawiciele wszystkich służb znajdujących się w MSW. Pierwsze posiedzenie odbyliśmy pięć dni później. Celem naszego działania jest ochrona osobista papieża. Zabezpieczenie nie tylko przed zamachem, ale także przed aktami gwałtownej adoracji. Zapewnienie nie zakłóconego przebiegu wizyty oraz zagwarantowanie spokoju podczas spotkań z wiernymi i sprawnego dotarcia ludzi do wyznaczonych miejsc zgrupowań. Konkretne zadania spoczywać będą na służbach nam podległych oraz służbach kościelnych. Uczestniczyć będzie 24 tys. policjantów z pionu prewencji i 2,5 tys. z ruchu drogowego. Odpowiednie sztaby powstały we wszystkich województwach i miastach, w których przebywać będzie papież.

— Jednym z ważniejszych elementów przygotowań był zapewne rekonesans na całym pielgrzymkowym szlaku.

— Dwukrotnie uczestniczyliśmy w objeździe trasy, w rekonesansie uczestniczył także organizator zagranicznych podróży Jana Pawła II o. Roberto Tucci. Byli również przedstawiciele Episkopatu, Biura Ochrony Rządu, władz lokalnych.

— Jakie zasady postępowania obowiązywać będą w miejscach, w których przebywać będzie papież?

— Jan Paweł II wraz z orszakiem znajdować się będzie w tzw. strefie zero. Tak więc w bezpośredniej bliskości dostojnego gościa znajdą się przedstawiciele władz, duchowieństwo oraz osoby posługujące się specjalnymi identyfikatorami. Natomiast w strefie „1" odległej o 30—60 m od Ojca Świętego znajdą się osoby z imiennymi zaproszeniami i zorganizowane grupy kościelne.

— Ciekawi nas czy kierowany przez Pana sztab korzystał z doświadczeń poprzednich zespołów przygotowujących pielgrzymkę papieską?

— Tak. Staraliśmy się wyciągnąć jak najwięcej pożytecznych wniosków. Należy pamiętać o tym, że zmieniła się sytuacja w naszym kraju od ostatniej wizyty, choć minęło zaledwie cztery lata, to dla polskiego narodu oznaczają one całą epokę. Dodać muszę, że w poprzednich wizytach dużo wysiłku władze, służby porządkowe poświęciły politycznej stronie pielgrzymki: pełnej kontroli zgromadzeń, wyeliminowaniu wszystkich zagrożeń, które przerodziłyby się w polityczne demonstracje czy nawet zachowań pojedynczych ludzi, które mogły być w ten sposób odczytane. Starano się przy każdej okazji tonować i eliminować uczucia entuzjazmu, uniesienia.

— Wynika z tego, że tegoroczna pielgrzymka będzie różniła się od poprzednich pod wieloma względami, także np. tym, że trzeba będzie pokonywać dużą odległość w ciągu jednego dnia. Czy służby zabezpieczające wizytę są do tego przygotowane?

— Rzeczywiście, stworzyło to nam dodatkowe trudności organizacyjne, nie mogło być mowy np. o przemieszczeniu sił porządkowych. Należało więc tworzyć oddzielne zaplecze i w Koszalinie, i w Rzeszowie, Przemyślu i Lubaczowie, w miastach które odwiedzi Ojciec Święty jednego dnia.

— Wizyta papieża w Lubaczowie wzbudziła duże zainteresowanie Ukraińców, Litwinów, Białorusinów, wielu z nich wybiera się do Polski. Czy służby graniczne będą w stanie odprawić w krótkim czasie tysiące pielgrzymów?

— Podjęliśmy w tej sprawie rozmowy, niestety wystąpiły różnice stanowisk. My skłaniamy się do otworzenia przed pielgrzymami ze Wschodu granic, natomiast strona radziecka uważa, że względy organizacyjne pozwalają na udział 20—25 tys. ich obywateli.

— Czy w przygotowaniach współdziałaliście ze służbami bezpieczeństwa innych państw?

— Poprosiliśmy Interpol i policje zagraniczne o przekazanie nam informacji o ewentualnych zagrożeniach. Wprawdzie nie zanotowaliśmy ani jednego niepokojącego sygnału, a mieć trzeba na uwadze, że żadnego kraju, nawet ojczystego nie da się odizolować od wszelkiego niebezpieczeństwa. Jan Paweł II doświadczył już brutalności

— Wysiłki mające na celu godne przygotowanie wizyty; ochrona papieża, zapewnienie porządku publicznego, sprawnej komunikacji, właściwego zaopatrzenia i opieki lekarskiej stanowią ogromne przedsięwzięcie organizacyjne, ale także finansowe. Wielu ludzi interesują koszty wizyty, niekiedy podnoszone są w terenie głosy, że pieniądze, które miały być na wypłatę „mundurówki" i podwyżkę płac dla policjantów, przeznaczone zostały na koszty pielgrzymki.

— Wizyta finansowana jest z rządowej rezerwy budżetowej. Chcę jednocześnie uspokoić wszystkich policjantów, że na ten cel nikt im nie wyjmie z kieszeni ani grosza.

— Do naszej redakcji dochodziły również głosy o próbie wykorzystania wizyty papieża do wywarcia presji na kierownictwie resortu w celu rozwiązania problemów płacowych.

— Jestem przekonany, że były to stanowiska pojedynczych funkcjonariuszy, których, jak się orientuję, nikt nie poparł. Wierzę, że zarówno ci, którzy bezpośrednio uczestniczyć będą w zabezpieczaniu miejsc związanych z pobytem papieża, jak i ich koledzy, którzy pełnić będą służbę w swych rejonach dołożą wszelkich starań, aby należycie wywiązać się z trudnych obowiązków. Podczas tej operacji użyjemy bowiem o połowę sił policyjnych mniej niż podczas poprzednich wizyt Jana Pawła II. Godny przebieg pielgrzymki będzie potwierdzał dalszą stabilizację naszego państwa.

— Dziękujemy za rozmowę

JERZY KIRZYŃSKI
KRZYSZTOF KILIJANEK
zdj. K. Potoc[illegible]

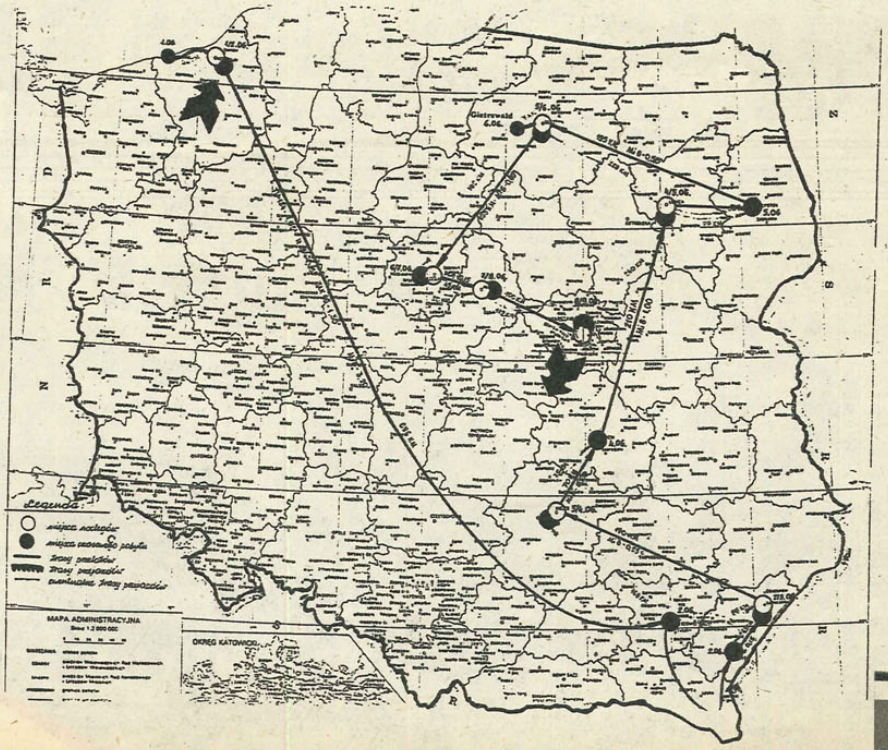

W POSZUKIWANIU TAJNYCH ARSENAŁÓW

„Zbrojne podziemie SB", „Esbecki magazyn broni", „KPN wyręcza UOP" — krzyczały pod koniec kwietnia tytuły gazet donoszących o wykryciu w Bytomiu „nielegalnego składu broni" należącego do byłego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa.

Na zwołanej ad hoc konferencji prasowej, przedstawiciele Konfederacji Polski Niepodległej starali się nadać jednostkowemu zdarzeniu wymiar jak najszerszy i mocno wyeksponować zagrożenia wynikające dla bezpieczeństwa powszechnego.

Adam Słomka, szef śląskiej KPN poinformował dziennikarzy, iż zdaniem jego partii w Bytomiu ujawniono jedynie niewielki fragment konspiracyjnych struktur zawiązywanych przez byłych funkcjonariuszy SB, milicji i ORMO. Jednoczą oni siły na dwóch poziomach: legalnym, skupiającym zweryfikowanych funkcjonariuszy i członków oficjalnie zarejestrowanego Stowarzyszenia Byłych Pracowników MSW oraz podziemnym, tworzonym przez funkcjonariuszy, którzy nie poddali się ocenom komisji kwalifikacyjnych, a którzy ze względów ideowych są przeciwnikami nowej Polski. Według rozpoznania KPN w działalność konspiracyjną na Śląsku zaangażowanych jest 30—40 esbeków. Zdominowali oni sieć sklepów handlujących bronią, spółek ochrony mienia i agencji detektywistycznych. Zakamuflowane magazyny broni istnieją w Zabrzu, Zawierciu, Chorzowie i Mysłowicach. Opracowana lista proskrypcyjna, autorstwa pewnego kapitana, zawiera nazwiska 6 osób (wśród nich Adama Słomki) wytypowanych do likwidacji w pierwszej kolejności.

— Ci ludzie są niebezpieczni — przekonywał lider śląskiego okręgu KPN. — Gromadzą broń i mogą zdecydować się na akcje terrorystyczne. Część z nich dla pieniędzy może zostać zawodowymi mordercami. Będzie im wszystko jedno, czy zastrzelą dyrektora banku czy na przykład Mazowieckiego. KPN sugerowała, że tajne arsenały mogą mieć związek z Socjaldemokracją RP.

Krzysztof M. aresztowany po doniesieniu KPN miał podobno świadczyć usługi zorganizowanym grupom esbeckim, konserwując broń i dorabiając do niej tłumiki. Adam Słomka twierdził, iż „pewni ludzie" w organach ścigania i wymiaru sprawiedliwości, powiązani z ośrodkami dawnej komunistycznej władzy, usiłują za wszelką cenę ukręcić śledztwu łeb. Przestrzegał, że jeśli UOP będzie się wykręcać od stanowczych kroków, to KPN weźmie rzecz w swoje ręce.

„Afera bytomska" wywołała szerokie poruszenie opinii publicznej. Nic więc dziwnego, że stała się przedmiotem licznych pytań zadawanych ministrowi spraw wewnętrznych podczas jego wizyty w Katowicach. O tajne arsenały SB pytano dr. Henryka Majewskiego na sesji Sejmiku Samorządowego, na spotkaniu z kadrą Policji, UOP, Straży Pożarnej, Straży Granicznej i NJW MSW. Za przejaw dziennikarskiej hierzetelności uznał minister podnoszenie kilku zakwestionowanych u podejrzanego pistoletów do rangi zasobnych składów uzbrojenia. Zdementował pogłoski o niebezpieczeństwie aktów terrorystycznych ze strony byłych funkcjonariuszy SB i zaprzeczył istnieniu arsenałów broni w innych miastach. Rozgłos nadany odkryciu w Bytomiu określił mianem „szumu informacyjnego" o jasnym celu politycznym.

Przypomnijmy podstawowe fakty. Krzysztof M., u którego służby UOP znalazły pięć jednostek broni palnej przechowywanej bez zezwolenia (m.in.: mauser i parabellum) oraz naboje do kbk-AK, jest rusznikarzem. Jak wyjaśnił w trakcie przesłuchania, gromadził pistolety, by przerobić je na gazowce. W resorcie spraw wewnętrznych pracował zaledwie trzy miesiące, nie w SB, lecz w pionie zaopatrzenia materiałowo-technicznego. Zwolniony został w 1975 roku.

Sprawa jest wnikliwie i wieloaspektowo badana przez Prokuraturę Wojewódzką i Delegaturę UOP w Katowicach. Jednakże już dziś wydaje się wątpliwe, by „pasja" Krzysztofa M. miała podtekst polityczny i jakikolwiek związek z próbami destabilizacji sytuacji wewnętrznej kraju. Raczej wszystko wskazuje na to, że KPN wykorzystała tę sprawę do efektownego zainicjowania kampanii przed wyborami do parlamentu.

AKP.

Notatnik parlamentarny

POSŁOWIE PYTAJĄ — MINISTROWIE ODPOWIADAJĄ

● W trakcie ostatniego posiedzenia Sejmu na interpelacje poselskie odpowiadali m.in. minister spraw wewnętrznych dr **Henryk Majewski** i wiceminister **Jerzy Zimowski**. W sprawie postulowanej przez posła Stefana Niesiołowskiego „weryfikacji" kandydatów na posłów w przyszłych wyborach do Sejmu, pod kątem ich ewentualnych powiązań z SB, min. Majewski stwierdził, że jest to technicznie niemożliwe (w aktach b. UB i SB znajduje się ok. 3 mln osób, uważanych przez te służby za współpracowników) i z punktu widzenia etycznego niewskazane. Nieodosobnione były bowiem przypadki wciągania wielu ludzi na te listy bez ich wiedzy i zgody. Trudno wykluczyć także w wielu przypadkach szantaż, świadomą prowokację i fałszerstwo.

W drugiej sprawie, dotyczącej sprowadzenia do Polski, z okazji wizyty Ojca Świętego, helikopterów amerykańskich marki Bell, a rezygnacji z nowego typu śmigłowca produkcji krajowej, min. Zimowski stwierdził, że uczyniono tak dlatego, aby wykluczyć nawet najmniejszą ewentualność zagrażającą bezpieczeństwu dostojnego gościa. Belle są helikopterami wszechstronnie sprawdzonymi, używanymi podczas przelotów wielu głów państw, natomiast nasz najnowszy wyrób, nie umniejszając jego walorów, oczekuje jeszcze na wymagane testy.

SEL

POCISK W SZKOLE

W Brzegu, przy płocie oddzielającym garaże jednostki radzieckiej od podwórka Szkoły Podstawowej, uczeń znalazł bojowy pocisk z broni pokładowej samolotu. Nauczyciele zawiadomili Policję i pocisk został przewieziony do Komendy Rejonowej, gdzie wezwano przedstawiciela Armii Radzieckiej. Po zidentyfikowaniu zguby zabrał pocisk (ok. 40 cm długości) do koszar. W jaki sposób pocisk znalazł się na stercie śmieci, z czyjej winy — to pytania, na które brak jeszcze odpowiedzi.

Henryk Gawlik

UWAGA CZYTELNICY!

WYDANIE SPECJALNE „MAGAZYNU KRYMINALNEGO 997" — ukaże się na przełomie czerwca i lipca br.

Na 32 stronach wakacyjnego numeru polecamy:

reportaże: „Zagubione dusze" — relacja z więzienia dla kobiet; „Duch w operze" — o najciemniejszych zakamarkach warszawskiej opery; „Lewe Batmany" — o wideo-piractwie; „Kryminal love story" — o krakowskich prostytutkach; wszystko o komandosach.

opowiadania kryminalne: „Pułapka"; „Wyrok", także wyznania szpiega.

ciekawostki: wszystko o kamizelce kuloodpornej, o pistolecie maszynowym mini UZI; ucho Stasi w łóżku itp.

Poradnik policyjny: „Policja radzi" — co zrobić, by ustrzec się przed włamywaczami.

Horoskop na wakacje i... NOWOŚĆ!

KRZYŻÓWKA „MK 997" — nagroda: MILION ZŁOTYCH!

Tego jeszcze nie było. Szukaj numeru specjalnego „MK 997" w kioskach „Ruch" na przełomie czerwca i lipca 1991 roku.

UWAGA KOLPORTERZY!

PRENUMERATA

Prenumerata „Magazynu Kryminalnego 997" na III kwartał br. przyjmowana jest z jednostek Policji **w nieprzekraczalnym terminie do 10 czerwca 1991 r.** Cena: 15 000 zł. Zamówienia zbiorcze oraz reklamacje w sprawie kolportażu kierować do redakcji: 00-986 Warszawa ul. Ogrodowa 28/30, telefony: 456866 lub 36866. Wpłaty za prenumeratę (pomniejszone o 10 proc. rabat) należy przekazać na konto: NBP Okręgowy Oddział Warszawa 1052-7995-130 ZOJCP.

Wkrótce w sprzedaży 12 numer „Gazety Policyjnej"

GAZETA policyjna

Polecamy w niej: ● PRAWO I PRAKTYKA — OCHRONA PRAWNA FUNKCJONARIUSZY ● STATYSTYKA ALARMUJE — TRZYKROTNY WZROST ZWOLNIEŃ Z POLICJI ● NOTATNIK PARLAMENTARNY — USTAWY POLICYJNE PO ROKU ● JĘZYKI SEKRETNE ● PORADY PRAWNE — PRACA W ROLNICTWIE LICZY SIĘ DO EMERYTURY ● HOROSKOP NA CZERWIEC ●

KULISY „SPRAWY PRZEMYKA"

KRYPTONIM

Rozmowa z prokuratorem Błażejem Sobierajskim (cd.)

— Panie Prokuratorze, po śmierci Grzegorza Przemyka, koronny świadek wydarzeń 12 maja 1983 r. Cezary F. stał się osobą ogromnie niebezpieczną dla resortu spraw wewnętrznych. Cezary F. zeznawał bowiem konsekwentnie podczas przesłuchań w prokuraturze, że pierwsze uderzenia pałką otrzymał Przemyk z rąk zomowca podczas wciągania go do radiowozu na placu Zamkowym, a sadystyczne pobicie nastąpiło w komisariacie MO przy ul. Jezuickiej, gdzie świadek również się znalazł. Fakt ten poważnie zagrażał rozpowszechnianej przez kierownictwa MSW i KG MO wersji, że sprawcami śmiertelnego skatowania G. Przemyka byli pracownicy pogotowia ratunkowego, którzy przewozili go z komisariatu do siedziby PR przy ul. Hożej. Od pierwszych więc chwil SB i milicja czyniły wiele, aby Cezaremu F., podczas bezpośredniego z nim kontaktów, „odświeżyć" pamięć. Zamierzenia te spalały na panewce z tej przyczyny, że świadek początkowo ukrywał się albo unikał wszelkimi sposobami tego rodzaju kontaktów. W jednym z protokołów prokuratorskich przesłuchań znajduję jego zeznanie, że — cytuję — „...przez cały czas postępowania byłem stale śledzony i prześladowany przez funkcjonariuszy SB... Obawiając się, że w przypadku, gdy zostanę ujęty, mogę być narażony na wielkie przykrości z utratą życia włącznie, przez kilka pierwszych dni ukrywałem się. Przebywałem w różnych miejscach, np. w w mieszkaniu B. Sadowskiej, na terenie plebanii kościoła św. Stanisława Kostki, u ks. Jerzego Popiełuszki... Wszędzie tam pojawiali się funkcjonariusze MO i podejmowali próby ujęcia mnie. Początkowo udawało mi się uniknąć zatrzymania...". W innym miejscu, relacjonując przesłuchanie w KM MO w Radomiu, Cezary F. podał: „...Podczas tej rozmowy funkcjonariusz nawiązał do postępowania dotyczącego zabójstwa G. Przemyka i zapytał mnie, czy wierzę, że sąd skarze milicjantów? Powiedział mniej więcej tak: „zobaczysz, że i tak będzie na nasze, człowieka z grobu nie podniesiesz, a sam sobie zaszkodzisz, a także rodzicom...". W jakiej mierze obawy Cezarego F. oraz ostrzeżenie, którego wysłuchał znalazły odzwierciedlenie w rzeczywistości?

— W całej rozciągłości. Świadczą o tym najlepiej tomy akt z działalności operacyjnej i pozaprocesowej, prowadzonej przez wiele ogniw MSW, KG MO i podległe im placówki terenowe. Postać Cezarego F., szczegóły jego życia, w tym również intymnego, znalazły się bowiem w owym czasie w centrum uwagi nie tylko decydenckiego ośrodka władzy w Warszawie, ale również niektórych ośrodków wojewódzkich i miejskich. Szczególna rola w realizacji sprawy, której nadano kryptonim „Junior", przypadła Wojewódzkiemu Urzędowi Spraw Wewnętrznych w Radomiu, do którego oddelegowano kilku oficerów z KG MO, dysponujących szerokimi uprawnieniami. Powiedziałem „sprawy", ponieważ nie chodziło wcale o wykonanie rutynowych czynności sprawdzających osobę świadka, ale podjęcie wielu, często bardzo perfidnych, działań, mających „skruszyć" Cezarego F., nakłonić go do wycofania poprzednich zeznań i złożenia, zwłaszcza podczas procesu, takich, które by oddalały widmo kary od milicjantów. Jest niemożliwe omówienie tych przedsięwzięć w całości, gdyż dokumentacja sprawy jest bardzo bogata. Ograniczę się więc do zrelacjonowania najważniejszych kierunków działań, które podjęły SB i MO w celu osiągnięcia wspomnianego celu. Gros z nich realizowano w Radomiu, miejscu stałego zamieszkania Cezarego F. i jego rodziców — Jana i Stanisławy. Niezależnie bowiem od stwierdzonego faktu utrzymywania przez „figuranta", jak brzmiało to w żargonie zawodowym esbeków i milicjantów, bliskich kontaktów z matką G. Przemyka — Barbarą Sadowską, ks. Jerzym Popiełuszką oraz innymi osobami, w tym również z kręgów opozycyjnych, mieszkającymi w Warszawie, założono, że najwięcej do zrobienia będzie w jego mieście rodzinnym.

— Na czym miało to polegać?

— Sięgnijmy do notatki służbowej kpt. Z.Ch. delegowanego z KG MO do KW MO w Radomiu, celem podjęcia tam „stosownych" działań. Datowana jest ona 26 maja 1983 r., a więc zaledwie w dwanaście dni od śmierci G. Przemyka i najlepiej odpowie na pana pytanie. Czytamy w niej: „...odbyłem spotkanie z naczelnikami Wydziału Kryminalnego i Wydziału III SB KW MO, którym przekazałem zadania wynikające z wyjaśnienia okoliczności śmierci G. Przemyka... Zapoznałem naczelników z charakterem sprawy, jej wydźwiękiem społeczno-politycznym oraz kierunkami działań resortu spraw wewnętrznych w tym zakresie. Z kolei scharakteryzowałem sylwetkę mieszkańca Radomia — Cezarego F., omówiłem jego rolę, jaką odgrywa w przedmiotowej sprawie i w związku z tym poleciłem: — zabezpieczyć agenturalnie C.F. (skróty nazwisk moje — LJS) i członków jego rodziny przy pomocy agentury istniejącej, a w razie braku dotarcia — pozyskać nową; — ustalić jak najwięcej kontaktów towarzyskich C.F., z uwzględnieniem przeszłości kryminalnej, zatrudnienia, miejsca zamieszkania itp.; — dążyć do ustalenia charakteru stosunków, jakie łączą F. z B.S. (...), ustalić motywy postępowania C.F. (czy działa sam, czy też jest inspirowany, a jeżeli tak — to przez kogo (...). Uzgodniłem sposób przekazywania informacji do KG MO. Zwróciłem ponadto uwagę na konieczność zachowania daleko idącej konspiracji we wszystkich czynnościach... Naczelnik wydziału III SB zobowiązał się do uruchomienia agentury Służby Bezpieczeństwa i zastosowania techniki oraz wyższych form pracy operacyjnej, gdy będą takie potrzeby i warunki".

Notatka, której obszerne fragmenty zacytowałem, była swoistym prologiem, po którym rozpoczęły się właściwe działania pod kryptonimem „Junior". O każdym z nich szczegółowe informacje przesyłano do Warszawy, do kierownictwa MSW i KG MO. Od nich z kolei wychodziły dyspozycje uszczegółowiające lub rozszerzające prowadzoną akcję. Nawiasem mówiąc, odnalezienie tych dokumentów okazało się bardzo pomocne w prowadzeniu wznowionego śledztwa.

— Powiedział Pan, że notatka była prologiem sprawy. Czy zawarte w niej polecenia realizowała tylko wąska ekipa funkcjonariuszy SB i MO z Radomia, czy też ją poszerzono? I pytanie drugie: co oznaczało wspomniane w niej „zastosowanie techniki i wyższych form pracy operacyjnej"?

— Można powiedzieć, że zinstytucjonalizowanie działań w sprawie „JUNIOR" nastąpiło nieco później, 14 września 1983 r., kiedy to decyzją komendanta głównego MO — generała J. Beima powołano grupę operacyjną, składającą się z — cytuję — „niezbędnej liczby pracowników wydziałów III, kryminalnego i dw. z przestępstwami gospodarczymi" WUSW w Radomiu. Na jej kierownika wyznaczono wspomnianego już kpt. Z.Ch. z KG MO, z którym przybył z Warszawy ppłk B.Z., również z KG MO. Delegowanych do grupy, a ich liczba była niemała, zwolniono z innych zadań służbowych. Czy formalne jej powołanie stanowiło votum nieufności do prowadzących dotychczas działalność? Otóż nie. Po prostu jej zasięg, a także fakt, że prokuratura zmierzała do sporządzenia aktu oskarżenia, nie takiego, jakiego oczekiwały KC PZPR, MSW i KG MO — wszystko to sprawiało, iż należało się spieszyć, wzbogacić zasób argumentów, mających zmiękczyć upartego świadka. Od tego zresztą czasu liczba osób bezpośrednio lub pośrednio zaangażowanych w wykonywanie wspomnianych w notatce zadań też nie była mała. Do Radomia przyjeżdżali wysłannicy Komendy Stołecznej MO, coraz częściej zauważalny był również udział Departamentu III MSW w koordynowaniu całości przedsięwzięć. Znajduje to wyraz w notatce służbowej z 31 maja 1983 r., sporządzonej przez innego wysłannika generała Beima do Radomia. Dowiadujemy się z niej, że wraz z zastępcą komendanta wojewódzkiego ds. SB płk. S.O. postanowiono na specjalnej naradzie, iż sprawę Cezarego F. do bezpośredniego prowadzenia przejmuje Wydział III radomskiej Służby Bezpieczeństwa, który do wykonania postawionych zadań włącza niezbędne siły i środki SB i MO oraz że tegoż dnia do Radomia przybędzie przedstawiciel Departamentu IIIMSW ppłk St.O. celem intensyfikacji podejmowanych przedsięwzięć. Wtedy też zadecydowano m.in. zebranie przeciwko Cezaremu F. materiałów o charakterze kryminalnym, mogących stanowić podstawę wszczęcia postępowania przygotowawczego. Rozumowano widać, że postawiony w stan oskarżenia we własnej sprawie świadek w innym procesie okaże się nie tylko mniej wiarygodny, ale również bardziej podatny na „argumenty" SB i MO. W zamian mógłby oczekiwać „wyrozumiałości" i puszczenia w niepamięć zarzucanych mu czynów. Rozważano, czy wykorzystać w tym celu orzeczenie kolegium ds. wykroczeń z 25 marca 1983 r. (a więc przed śmiercią G. Przemyka), nakładające na Cezarego F. grzywnę 4600 zł za... noszenie części umundurowania wojskowego. Ponieważ kwoty tej nie wpłacił, groziła mu kara zastępcza 23 dni aresztu.

Jeżeli chodzi o ostatnią część pytania, to owe „zastosowanie techniki i wyższych form pracy operacyjnej" oznaczało podsłuch w mieszkaniu, podsłuch telefoniczny, kontrolę korespondencji, obserwację domu, inwigilację, wprowadzenie do akcji agentów-prowokatorów itp. Jednoznaczne potwierdzenie zastosowania tych metod w odniesieniu do Cezarego F. i jego rodziny znajdujemy w „Informacji" z 30 czerwca 1983 r., autorstwa naczelnika Wydziału IV Departamentu III MSW — płk. E.Ch. Czytamy w niej, że do realizacji zamierzonych celów „...podjęto kompleksowe działania operacyjne, zapewniające dopływ informacji z kręgów jego (Cezarego F. — przyp. LJS) rodziny i otoczenia. Zastosowano PP, PT, B i W (używane w MSW skróty wspomnianych środków techniczno-operacyjnych — przyp. LJS), pozyskano do pracy nowe źródła informacji, a także wprowadzono do realizacji przedsięwzięć źródła innych jednostek SB i MO... W sprawie współdziałają piony operacyjne KW i KM MO w Radomiu. W miarę potrzeb włączane są inne jednostki z terenu kraju".

— Ostatnie zdania tego cytatu brzmią niemal jak komunikaty wojenne. Tymczasem celem bitwy prowadzonej przez wielką rzeszę ludzi z MSW i MO z jednym człowiekiem było maksymalne zszarganie jego opinii. Chciałoby się zapytać, czy te jednostki, piony i środki nie mogły wówczas służyć społecznej sprawie? Powróćmy jednak do tematu ukrytego pod kryptonimem „JUNIOR".

POLICJA INFORMUJE

(Wybór zdarzeń kryminalnych)

HORROR

● 22 kwietnia w Tomaszowie Maz. (woj. piotrkowskie) w śmietniku znaleziono częściowo obnażone, ukryte pod stertą papierów zwłoki Jolanty S. (lat 39), barmanki.

● 1 maja w m. Kieleczka (woj. katowickie) do samotnie mieszkającego Wilhelma B. wtargnęło 3 zamaskowanych mężczyzn, którzy pobili nożem i siekierą właściciela, okradli go i odjechali dużym fiatem. Wilhelm B. zmarł w szpitalu.

● 2 maja w Myszkowie (woj. częstochowskie) znaleziono w rzece nagie zwłoki Krystyny K. (lat 31). Zgon nastąpił na skutek uduszenia na tle seksualnym.

● 5 maja w Krakowie 2 młodzi ludzie strzelali z pistoletu pneumatycznego do słupa telegraficznego. Na uwagę zwróconą przez Kazimierza R. jeden z nich strzelił w jego kierunku raniąc go w szyję. Policjanci zatrzymali sprawcę Jarosława P., ucznia zespołu szkół mechanicznych.

HORROR RODZINNY

● 6 maja w Zgierzu (woj. łódzkie) znaleziono w mieszkaniu zwłoki Leszka J. Policja zatrzymała podejrzanego o dokonanie zabójstwa syna ofiary Jacka.

● Tego samego dnia do Komisariatu Policji w Lubsku (woj. zielonogórskie) zgłosił się Zenon O., który poinformował, że w trakcie awantury domowej udusił swoją żonę.

ZUCHWAŁE NAPADY

● 19 kwietnia na korytarzu kamienicy w Toruniu 3 mężczyźni pobili, przecięli nożem rękaw kurtki i rozerwali spódnicę Katarzynie J. (lat 19). Napastnicy skradli pieniądze w kwocie 1 074 500 zł.

● 2 maja w Warszawie 3 chłopców podeszło do Zuzanny K. i grożąc użyciem noża zrabowało jej torebkę z pieniędzmi. Policjanci złapali sprawców: Wiesława J., Roberta M. i Jacka Z. (wszyscy są szesnastolatkami i uczniami).

WIELKIE ŁUPY

● 18 kwietnia w Zgorzelcu (woj. jeleniogórskie) Manfred K. (obywatel RFN) poinformował Policję o kradzieży samochodu „Mercedes". Znajdowały się w nim pieniądze i wartościowe przedmioty. Suma strat wynosi 420 mln zł.

● 21 kwietnia w m. Jasień (woj. poznańskie) ujawniono włamanie do willi Wojciecha W. Sprawcy skradli wyroby ze srebra, złota i platynową biżuterię, futra, porcelanę i pieniądze o wartości około 515 mln zł.

● W nocy z 23 na 24 kwietnia w Wejherowie (woj. gdańskie) włamano się do sklepu „Pewex", skąd skradziono sprzęt audiowizualny o wartości 350 mln zł.

● 25 kwietnia ujawniono kradzież 681 metrów kabla miedzianego o wartości 680 mln zł z kopalni siarki w Tarnobrzegu.

● 27 kwietnia w Markach (woj. warszawskie) włamano się do domu Agnieszki P. Napastnicy uśpili właścicielkę środkiem usypiającym, zastraszyli jej 11-letniego syna i zrabowali różne wyroby ze złota i dolary łącznej wartości 1700 mln zł.

AWANTURA

● 20 kwietnia KRP w Żyrardowie (woj. skierniewickie) została powia-

„JUNIOR" – osaczanie świadka

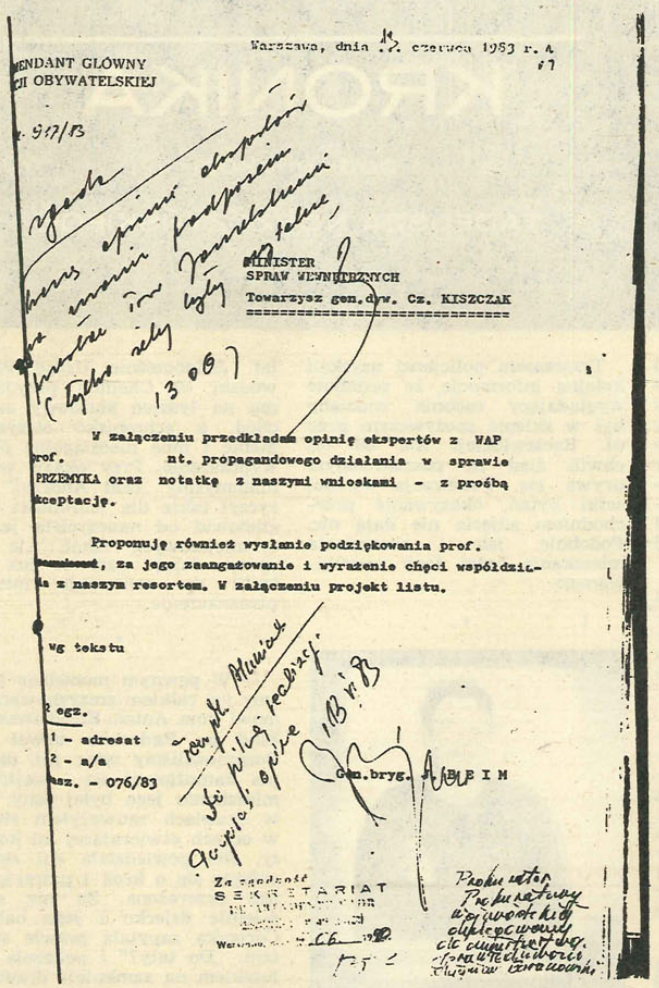

Warszawa, dnia 14 czerwca 1983 r.

WENDANT GŁÓWNY
CJI OBYWATELSKIEJ

MINISTER
SPRAW WEWNĘTRZNYCH
Towarzysz gen. dw. Cz. KISZCZAK

W załączeniu przedkładam opinię ekspertów z WAP
prof. nt. propagandowego działania w sprawie
PRZEMYKA oraz notatkę z naszymi wnioskami – z prośbą
akceptację.

Proponuję również wysłanie podziękowania prof.
za jego zaangażowanie i wyrażenie chęci współdzia-
ła z naszym resortem. W załączeniu projekt listu.

wg tekstu

2 egz.
1 – adresat
2 – a/a
asz. – 076/83

Gen. bryg. J. BEIM

Za zgodność
SEKRETARIAT

Publikowana tutaj kserokopia pisma komendanta głównego MO — generała J. Beima do ministra Cz. Kiszczaka dotyczy ekspertyzy na temat... propagandowego działania w sprawie Grzegorza Przemyka, przygotowanej w Krakowie. Ekspertyza zyskała uznanie generała Kiszczaka. W dekretacji napisał: „Zgoda, proszę opinię ekspertów za moim podpisem przesłać tow. Jaruzelskiemu (tylko żeby było czytelne). 13.06.1983 r."

Przeglądając „Plan pracy grupy operacyjno-śledczej" napotkać można punkty wywołujące — delikatnie mówiąc — zdumienie swoim z góry założonym bezprawiem. Oto planuje się kombinację operacyjną mającą na celu jednoczesne wyprowadzenie z mieszkań sąsiadów rodziny Cezarego F., tylko dlatego, aby dokończyć zakładanie instalacji podsłuchowej i podglądowej; oto — cytuję — „zobowiązuje się naczelników wszystkich wydziałów SB do sukcesywnego przekazywania informacji mających związek z figurantem (czyli Cezarym F. — przyp. LJS), pochodzących od agentury, ze szczególnym uwzględnieniem środowisk opozycyjnych i kleru"; oto kolejny cytat — „dokonywane jest codzienne sprawdzanie osób zatrzymanych w izbie wytrzeźwień oraz zatrzymanych za wykroczenia i przestępstwa kryminalne, pod kątem ich powiązań z figurantem, w celu ewentualnego pozyskania ich na materiałach obciążających", czyli — mówiąc po ludzku — uczynienia z nich informatorów; oto rozpoznaje się sytuację prawno-karną odbywającego karę pozbawienia wolności „najbliższego przyjaciela figuranta" — Ryszarda T., celem ewentualnego pozyskania go lub skłonienia (jak?...) do przekazywania wszelkich informacji o Cezarym F.; oto — znowu cytat — „Wraz z rozwijającą się sytuacją operacyjną zintensyfikować współpracę z posiadanymi już poufnymi osobowymi źródłami informacji przez przydzielanie im konkretnych zadań i rozliczanie z wykonawstwa". Itp., itd.

Czytając o tych wszystkich zamierzeniach i dokonaniach ciśnie się na usta pytanie: Czy ścigano supergroźnego przestępcę, czy chciano zaszczuć świadka? Czy wiedzieli o tym prokurator i sąd?

— Przedsięwzięcia, które Pan wymienił, a są to tylko niektóre, miały charakter pozaprocesowy i odbywały się bez zgody prokuratora. Potwierdzenie ich zaistnienia ostatecznie rozwiało mit, jakoby MSW nie uczestniczyło w śledztwie. Był on wielokrotnie powtarzany, o czym wspominaliśmy w poprzedniej rozmowie, w korespondencji generała Kiszczaka do osób indywidualnych i organizacji społecznych. Argumentacja (bo i taka bywała!...), że działania, o których mówimy, miały charakter ściśle tajny i nie wpływały na przebieg śledztwa prokuratorskiego — jest nie tylko złudna, ale wręcz fałszywa. Fabrykowanie zeznań świadków drogą wymuszeń, szantażu lub gróźb niejednokrotnie doprowadzało bowiem do tragicznych omyłek sądowych, podważając społeczną wiarę w sprawiedliwość. I chociaż w „sprawie Przemyka", również podczas procesu, Cezary F. podtrzymywał swoje pierwsze zeznanie obciążające milicjantów, to jednak kilkumiesięczna pozaprocesowa działalność MSW, SB i MO, z ich szefami na czele, sprawiła w końcu, że waga w ręku Temidy przechyliła się w niewłaściwą stronę. Niezamierzenie nagrodzone zostały poczynania niezgodne z prawem, w wyniku których koronny świadek oskarżenia — stał się świadkiem wiary niegodnym. Nie popadając w patos muszę jednak stwierdzić, że wyrok, który zapadł w lipcu 1984 r. był nie tylko pomyłką sądową, ale również tragedią Cezarego F. Wszak uniewinniając milicjantów i obarczając winą za śmierć Grzegorza Przemyka sanitariuszy, sąd skazał również nieformalnie na moralną banicję świadka, którego woli i sumienia przez ponad rok nie złamały najbardziej wymyślne operacje SB i MO. Dobrze, że możemy o tym mówić dzisiaj nieskrępowanie, ponieważ dzięki temu wyłania się z mroku tajemnic inne jeszcze niż obiegowe oblicze SB i milicji jako zakonspirowanego dyrygenta śledztw i przewodów sądowych. Warto chyba, aby temat ten poruszył pan w „Rozmowach o Policji" publikowanych w „Gazecie Policyjnej".

— Myślę, że podczas kolejnego spotkania zobrazujemy Czytelnikom metody szantażu wywieranego na rodziców Cezarego F. (ze „sprawdzaniem"... wiekowego dziadka Cezarego F. włącznie), celem zmuszenia ich do „gry po właściwej stronie" oraz atmosferę złej opinii, jaką wytwarzano wokół matki Grzegorza Przemyka — Barbary Sadowskiej, literatki i przewodniczącej Społecznego Prymasowskiego Komitetu Pomocy Więźniom.

— Dodam, że w drugim przypadku chodziło o przekonanie opinii publicznej i sądu, że G. Przemyk i jego matka byli niezrównoważeni i moralnie podejrzani.

— Dziękuję za rozmowę.

LESZEK J. SROKA

---

domiona o awanturze w mieszkaniu Grażyny F. Okazało się, że bierze w niej udział 9 mężczyzn, z których jeden użył broni gazowej. Policjanci przy próbie zatrzymania sprawców zostali zaatakowani i poszczuci psem. Jeden z nich oddał strzał ostrzegawczy.

NAPAD NA LISTONOSZA

● 25 kwietnia KRP Łódź-Bałuty została powiadomiona o rozboju dokonanym na doręczycielu Arturze S. Został on zaatakowany przez 2 mężczyzn na klatce schodowej. Sprawcy wyciągnęli mu z torby 62 mln zł, po czym wepchnęli listonosza do piwnicy i zbiegli.

VENDETTA

● 27 kwietnia KRP w Sochaczewie (woj. skierniewickie) została powiadomiona o zabójstwie na tle nieporozumień związanych z pożyczką pieniężną. Zamordowanym przez Ryszarda K. jest Hubert Z. (lat 17), wychowanek zakładu poprawczego.

SKUTECZNE OBLĘŻENIE

● 3 maja w Prabutach (woj. elbląskie) policjanci zatrzymali Tadeusza P. Zranił on nożem interweniującego wcześniej sierż. Jerzego S. Tadeusza P. zatrzymano na terenie cmentarza, gdzie skrył się i zabarykadował w kaplicy wraz z konkubiną Izabelą W. i dwojgiem dzieci.

POLICJANCI W OPAŁACH

● 25 kwietnia w Górze Kalwarii (woj. warszawskie) 2 policjanci podjęli interwencję wobec 5 pijanych mężczyzn, którzy rzucali butelkami w przejeżdżające samochody. Pijacy zaatakowali funkcjonariuszy i pobili ich, w tym jednego dotkliwie (wstrząśnienie mózgu, złamanie żeber itp.). Wszyscy sprawcy zostali zatrzymani. Są nimi mieszkańcy Warszawy: Norbert B., Arkadiusz W., Jerzy K., Tomasz K. oraz Robert K.

● 27 kwietnia w Czaplinku (woj. koszalińskie) zatrzymujący podejrzanego o włamanie Janusza G. policjant został uderzony przez niego łyżką monterską. Napastnik przebywał na 6-miesięcznej przerwie w odbywaniu 25-letniej kary pozbawienia wolności za zabójstwa. Sprawca zbiegł.

● 29 kwietnia w Gliwicach (woj. katowickie) funkcjonariusze z IV Komisariatu Policji zatrzymali sprawców włamania do magazynu. W trakcie ich wyprowadzania (w kajdankach) do radiowozu 10 pijanych osób zaatakowało policjantów, rzucając w nich kamieniami i butelkami. Napastnicy rozbiegli się dopiero po oddaniu strzału ostrzegawczego. Włamywacze znaleźli się w areszcie.

POLICJANCI STRZELAJĄ

● 3 maja w m. Graboszewo (woj. konińskie) policjanci w czasie zatrzymania zaatakowani zostali bronią gazową oraz nożem przez 5 mężczyzn. Funkcjonariusze oddali strzały ostrzegawcze. Trzech napastników zatrzymano. W wyniku zajścia asp. Grzegorz S. został zraniony nożem. Jeden z przestępców postrzelony w stopę i w bok został opatrzony przez lekarza.

FURIAT W MUNDURZE

● 6 maja w Słupsku sierż. WP Bogusław Ż. będąc pod wpływem alkoholu strzelił we własnym mieszkaniu do swego przełożonego. Po tym zdarzeniu sierż. Bogusław Ż. zbiegł w rejon cmentarza, gdzie ostrzeliwał się otoczony przez policjantów i żandarmów wojskowych. Podoficer ciężko zranił psa policyjnego. Sierż. Jan T. trafił furiata w udo, co pozwoliło go ująć.

oprac. MAT

997

KRONIKA

pod redakcją

TADEUSZA NOSZCZYŃSKIEGO

„BRAWO POLICJA"

Dochodziła godzina 15.15, kiedy w piątek 26 kwietnia br. odezwał się telefon na pulpicie dyżurnego policjanta w KWP w Suwałkach.

— Rozpoznałam go — stwierdziła anonimowa rozmówczyni. — To na pewno on. W środę jego zdjęcie pokazywano w telewizji, w tym programie „997". Widziałam go przed chwilą na ulicy Kościuszki...

Dyżurny natychmiast połączył się z naczelnikiem Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego KWP kom. Antonim Kosakowskim.

— Nie namyślałem się ani chwili — opowiada naczelnik. — Były akurat dwa wolne, nie oznakowane radiowozy. W pięciu chłopa wskoczyliśmy do nich i ruszyliśmy w rejon osiedla im. E. Plater. Wcześniej każdy z nas wziął zdjęcie poszukiwanego. Zaczęliśmy pytać. Jeden z napotkanych przechodniów potwierdził, że widział w okolicy tego mężczyznę. Ubrany był w komplet dżinsowy, miał ciemne okulary. Natychmiast nadaliśmy tę informację w eter. Jednocześnie wywnioskowaliśmy, że widziano go w miejscu, skąd mógł obserwować dom swojej byłej żony.

Tymczasem w KWP odzywa się kolejny telefon. Poszukiwanego w telewizyjnym programie „997" mężczyznę widziano w okolicy ul. Buczka, jakieś 4—5 kilometrów od miejsca, w którym pojawił się pierwszy ślad. Kom. Antoni Kosakowski kojarzy błyskawicznie. — W tej okolicy jest przedszkole. Może poszedł po córkę? Pytamy drogą radiową o 4-letnią dziewczynkę. Niestety nikt o wspomnianym nazwisku nie jest zapisany w przedszkolu. Dopiero później okazało się, że żona przestępcy po rozwodzie zmieniła nazwisko swoje i dziecka.

Tymczasem policjanci uzyskali kolejną informację, że podobnie wyglądający osobnik widziany był w sklepie spożywczym przy ul. Racławickiej. Ale od tej chwili ślad za poszukiwanym urywa się. Penetracja terenu, setki pytań, okazywanie przechodniom zdjęcia nie dają nic. Podobnie, jak i obserwacja mieszkania byłej żony poszukiwanego.

* * *

25-letni Andrzej Radecki urodzony w Kutnie został zatrzymany przez funkcjonariuszy MO w Suwałkach 26 lipca 1989 r. Jego konto obciążały dwa zgwałcenia, kilkanaście oszustw, kradzieże, przywłaszczenia. Prokurator zarzucił mu czyny w związku z artykułami 168 § 1, 136 § 1, 203 § 1 i 205 k.k. Sąd, po udowodnieniu winy podejrzanemu, 17 listopada 1990 r. skazał go na... 3 lata pozbawienia wolności i jednocześnie przychylił się do prośby skazanego o kilkudniową przerwę w odbywaniu kary. Skazany motywował to koniecznością załatwienia spraw rodzinnych.

Sprawy załatwił. Pobił oraz zgwałcił swoją byłą żonę. A następnie przepadł bez wieści. Na jego ślad trafili policjanci z Chełma poprzez zgłoszenia poszkodowanych. Andrzej Radecki w tym mieście przebrał się za księdza i w tymże przebraniu, co jest faktem wielce wymownym w dzisiejszych czasach, w 2 dni załatwił m.in. telefon dla Schroniska Towarzystwa im. Brata Alberta! Cywilom nie udało się to przez kilkanaście lat. Jednocześnie Urząd Wojewódzki w Chełmie przydzielił mu na tydzień służbowy samochód, a schronisko otrzymało meble i inne nieosiągalne dotąd wyposażenie. Przy okazji wspaniałomyślny „brat Andrzej" życzył także dla schroniska magnetowid od nauczyciela jednej z miejscowych szkół. Ale ten sprzęt dużej wartości już nie trafił do rzekomego miejsca przeznaczenia...

*

— W pewnym momencie byliśmy już całkiem zrezygnowani. — mówi kom. Antoni Kosakowski. — Ślad po Radeckim urwał się. Postanowiliśmy więc już dłużej nie kamuflować się i wejść do mieszkania jego byłej żony. Już w drzwiach zauważyłem strach w oczach otwierającej mi kobiety. Nie powiedziała ani słowa, cofnęła się o krok i patrzyła na nas przerażona. Za nią stało 4-letnie dziecko i jego babcia. Córeczka zapytała prawie szeptem: „Do taty?" i pokazała paluszkiem na zamknięte drzwi do pokoju...

Teraz należało działać błyskawicznie. Policjanci wyprowadzili z mieszkania trójkę domowników, gdyż Radecki w każdej chwili z tych osób mógł zrobić zakładników. Drogą radiową wezwali pomoc. Po chwili pojawił się nadkom. Andrzej Chołopiak i kom. Paweł Wandachowicz.

„Pilnujcie okna na parterze" — mówi do nich naczelnik. Sam wraz z asp. Januszem Kornelukiem jeszcze raz wchodzi do mieszkania. W tym samym momencie z pokoju wyskakuje wprost na nich poszukiwany mężczyzna. W jednej ręce trzyma nóż, w drugiej gaz. Najpierw grozi samobójstwem. Zaraz potem przybiera pozycję do ataku i zamierza się nożem na Korneluka. Gdyby policjant nie uskoczył, miałby przecięte gardło.

„Rzuć nóż, bo będę strzelał!" — Kosakowski przeładował broń. W tym momencie dostał gazem w twarz. Tylko nie tym, którego używają polscy policjanci, ale amerykańskim, naprawdę paraliżującym. Toteż policjant zdrętwiał na parę sekund. Radecki natychmiast wykorzystał to i rzucił się do ucieczki.

Kiedy zorientowałem się, co się dzieje — kontynuuje naczelnik — krzyknąłem do Wandachowicza. Jednocześnie wystrzeliłem w powietrze cały magazynek. Chciałem w ten sposób przestraszyć uciekającego. Wandachowicz, duże i sprawne chłopisko, rzucił się pędem za uciekającym. Ten przebiegał właśnie przez jezdnię. Policjant nie oglądając się ni w lewo, ni w prawo wpadł za nim wprost pod koła nadjeżdżającego audi. Na szczęście kierowca samochodu wykazał nieprawdopodobny refleks. Hamujący z piskiem opon samochód stanął w poprzek drogi, ale nie potrącił funkcjonariusza.

Pogoń trwała kilkanaście sekund. Po tym czasie uciekający znalazł się w zasięgu rąk Wandachowicza. W tym samym momencie ukazali się pozostali policjanci jadąc wprost na niego służbowym polonezem. Widząc to przestępca rzucił na ziemię nóż i pojemnik z gazem. I nagle rozległy się oklaski...

Ktoś mógłby teraz sądzić, że opisane powyżej zdarzenie rozegrało się na scenie teatru lub działo wyświetlone w kinie przy pełnej widowni. Nic z tych rzeczy. Działo się to około godziny 17.00 w Suwałkach, a oklaskami nagrodzili akcję policjantów zgromadzeni przechodnie, którzy usłyszawszy strzały w centrum miasta, zbiegli się ze wszystkich stron. Większość gapiów wiedziała już, co się święci. Inni dopiero pytali, czy to ten, co go pokazywali w telewizji, w „997". „Brawo Policja" — krzyczano z tłumu.

Andrzejowi Radeckiemu na poprzedniej rozprawie zarzucono około 30 czynów przestępczych. Po wyjściu na kilkudniową przepustkę, która nieco się przedłużyła z woli skazanego, dopuścił się następnych. Trudno dzisiaj dokładnie ustalić ich liczbę. Nie wszyscy poszkodowani zgłosili się na Policji.

Posiadał kradzione dokumenty. Poprzedni ich właściciel był [illegible] podobny do Radeckiego, dzięki czemu ten ostatni nie musiał wymieniać zdjęcia w paszporcie. Czy i tym razem sąd okaże podobną jak poprzednio wyrozumiałość?

Zaprezentowana powyżej sprawa to nie jedyny sukces Policji i telewizyjnego programu „997". Tuż po kwietniowej emisji ujęto także zabójcę 29-letniego Mariusza Kuzaja prowadzącego firmę budowlaną w Krakowie. Znaleziono go zabetonowanego w beczce na jednym z podwórek w śródmieściu Krakowa. Przed tym makabrycznym odkryciem żona zaginionego Mariusza Kuzaja otrzymała kilka tajemniczych telefonów żądających okupu. Nieznany głos sugerował, że jej mąż spowodował wypadek, jadąc po pijanemu i żeby go z tego wyciągnąć trzeba zapłacić 25 milionów zł.

Podczas czynności śledczych w tej sprawie ustalono, że pół roku wcześniej zatrudnił się u Mariana Kuzaja niejaki Emil Pasternak, wielokrotnie karany, który łącznie w zakładach karnych odsiedział 12 lat za włamania i oszustwa. Policjantom udało się ustalić jednego z jego przyjaciół. Ten w swoich zeznaniach potwierdził podejrzenia prowadzących śledztwo. Za Emilem Pasternakiem rozesłano listy gończe, a jego zdjęcie trafiło do programu „997". I dzięki reakcji telewidzów przestępca ten został ujęty prawie zaraz po programie. Do szczegółów w tej sprawie jeszcze wrócimy.

Zatrzymano także gwałciciela z Sosnowca Mirosława W., pracownika jednej z kopalń oraz Macieja Maksyma, oszusta prowadzącego biuro podróży „Stefania" w Gliwicach i zbierającego pieniądze za nie dochodzące do skutku zagraniczne wycieczki.

Natomiast nadal otwarta jest

SPRAWA ZABÓJSTWA

Barbary Bień z Zawiercia, choć i w tym wypadku napłynęło sporo informacji od telewidzów. Oto krótkie przypomnienie tej tragicznej historii.

Zwłoki tej kobiety znalazł w jej mieszkaniu 31 sierpnia 1989 r. przyjaciel zamordowanej, wspólnie handlujący z nią na bazarze złotem. Ta profesja nie była jednak głównym źródłem dochodu pani Bień, mieszkającej przy ul. Zaparkowej 6 w Zawierciu. Od lat trudniła się ona wyrobem i sprzedażą firan. Sprzedawała je zarówno u siebie w domu, jak i na targowiskach w Zawierciu, Będzinie i Częstochowie. W sierpniu 1989 r. wokół jej mieszkania przez kilka dni kręciło się 2 mężczyzn prezentowanych na portretach pamięciowych sporządzonych na podstawie zeznań sąsiadów. Oni to podejrzani są o zamordowanie 56-letniej kobiety w celach rabunkowych. Dzień przed zabójstwem widziano ją z kolei na bazarze w towarzystwie innego mężczyzny, którego portret pamięciowy także prezentujemy.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji w tej, jak i w pozostałych przedstawionych powyżej sprawach, proszony jest o kontakt z Komendą Główną Policji, naszą redakcją lub najbliższą jednostką Policji.

zdj. i reprodukcje autor

● MATERIAŁY ZAWODOWE
● INFORMACJE—CIEKAWOSTKI

Znajdziesz w dwutygodniku GAZETA policyjna

OSTATNIE ROZDANIE

— Ten zbój na pewno zgwałcił moją córkę. Gdy otworzyłam drzwi, ona siedziała na jego kolanach, kołysała biodrami i robiła słodkie minki. Co jednak on przedtem z nią wyprawiał, kiedy w pokoju byli sami, chyba domyśla się pan komisarz — matka lekko pchnęła przed siebie 15-letnią wyrośniętą Mariolę.

— Jak brakuje mu podniet, to niech pogimnastykuje się z gumową lalą, a nie z moją bratanicą — 26-letni wujek grzmotnął pięścią w blat biurka — bo porachuję mu żebra.

Na koniec zabrała głos pokrzywdzona:

— „Rocky" nie robił ze mną nic złego. Nie zadzierał mi sukienki, ani nie wkładał pod nią ręki. Siedziałam mu tylko na kolanach.

W zeznaniach dziewczyny nie było ani słowa o dokonaniu na niej czynu lubieżnego. Matka nalegała jednak, aby lekarz przebadał jej córkę. Badania nie wykazały, że została zgwałcona.

Matka i wujek Marioli byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

Rozmowę tę funkcjonariusze puściliby w niepamięć, gdyby nie zdarzenie, które nastąpiło w kilkanaście godzin później. 13 lutego br. lokator z ul. Markowskiej powiadomił dyżurnego KRP Warszawa-Praga Północ, że na jego klatce schodowej, między trzecim a czwartym piętrem, leżą obnażone zwłoki mężczyzny. Funkcjonariusze ustalili, że to „Rocky". Miał poderżnięte gardło i rany kłute klatki piersiowej.

Z oględzin wynikało, że zwłoki zostały przeciągnięte na półpiętro. Skąd? Dla uzyskania odpowiedzi na to pytanie policjanci wykorzystali psa tropiącego. Doprowadził on do mieszkania państwa L. Były w nim wyraźne ślady krwi, na krzesełku zaś leżały dokumenty denata, lokatorzy najspokojniej w świecie spali po nocnej libacji.

Funkcjonariusze zatrzymali 5 osób. Z ich zeznań odtworzony został przebieg wydarzeń. „Rocky" nie pił więcej od innych, ale oszukiwał w karty. Wujek Marioli i jej 20-letni kuzyn postanowili dać mu krwawą nauczkę. Chwycili noże i dokonali zabójstwa. Byli tak pijani, że nie starali się nawet zatrzeć śladów zbrodni.

JOLANTA SZUTKOWSKA

USA

WYWIAD NA CENZUROWANYM

Po zwycięstwie nad Irakiem, jeszcze w atmosferze euforii i rosnącej popularności prezydenta Busha, zapoczątkowana została w niektórych amerykańskich kołach politycznych, a przede wszystkim wśród demokratów, trzeźwa ocena wydarzeń w Zatoce Perskiej, w szczególności roli i skuteczności działania amerykańskich służb wywiadowczych zarówno w rozeznaniu sytuacji przed rozpoczęciem ofensywy, jak i w toku działań wojennych.

Dla demokratów polem do ostrej krytyki i ataku na administrację Busha są błędne oszacowania jakoby Irak stanowił wielką potęgę i stąd przypuszczenia dużych strat ludzkich. Te, nie potwierdzone w operacjach wojennych, oszacowania zostały oparte na informacjach służb specjalnych oraz alarmistycznych oświadczeniach niektórych dowódców wojskowych.

Tak więc senator Boren oraz inny reprezentant Kongresu Mc Curdy, obaj przedstawiciele partii demokratycznej i przewodniczący specjalnej komisji do spraw służb informacyjnych, zapowiedzieli przeprowadzenie dochodzenia oraz omówienie na posiedzeniach publicznych działalności służb wywiadowczych. Nikt nie neguje, że Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) oraz Krajowa Agencja Bezpieczeństwa (NSA) podległa Pentagonowi, wykonały dobrą techniczną robotę. Za pomocą swoich satelitów zapewniły odpowiedni serwis fotograficzny, przerwały łączność przeciwnikowi oraz przekazały dokładne informacje o ruchach wojsk irackich. W ogólnym zarysie kierownictwo Białego Domu było poinformowane o grożącym niebezpieczeństwie irackiego ataku.

Obok tych doskonałych działań zanotowano także niestety braki, a w pewnym stopniu również i nieudolność. Głównym grzechem amerykańskich służb wywiadowczych było przecenienie irackiej potęgi wojskowej: liczba 500 tys. żołnierzy w Kuwejcie była wielką przesadą. Już przed ofensywą lotniczą z 26 stycznia irackie dywizje były osłabione masowymi dezercjami. Jednym słowem, na początku ofensywy lądowej, według niektórych analiz, liczyły one około 200 tysięcy ludzi.

Amerykańskie służby wywiadowcze wyolbrzymiły także możliwości Iraku prowadzenia wojny chemicznej, w każdym razie, nie wyjaśniły dlaczego, posiadając taką broń, Irakijczycy jej nie wykorzystali. Natomiast przeciwnie, tajne służby nie doceniły możliwości użycia przez Irak ruchomych wyrzutni rakiet SCUD. Sam gen. Schwarzkopf potwierdził nieścisłość oszacowań służb specjalnych. Nie potrafiły one wykryć na czas np. ucieczki irackich samolotów, które schroniły się na terytorium Iranu.

Dla senatora Borena, analiza działalności służb wywiadowczych jest konieczna z dwóch głównych powodów: z jednej strony już od dawna skoncentrowały się one w zasadzie na Związku Radzieckim i wschodnich krajach europejskich, z drugiej strony zbytnio zaufały technologii, satelitom, a niedostatecznie ludziom w terenie, co nazywamy „humint" (human intelligence), czyli informacji ludzkiej. Technologia nie potrafi dostarczyć wiadomości o zamiarach kierownictwa wroga ani o nastrojach społeczeństwa. Zachodzi potrzeba udoskonalenia naszego „humint" — twierdzi senator Boren, stąd konieczność zwiększenia liczby i kwalifikacji zakonspirowanych agentów za granicą, zamiast kupowania bardzo drogich urządzeń oraz przyjmowania naukowców-analityków do pracy w centralach wywiadowczych.

na podst. „Le Monde"
oprac.
MARIAN OWCZAREK

Chile

W WALCE Z TERRORYZMEM

Wraz z nastaniem w Chile demokracji zakładano, że niewielkie lewicowe ugrupowania paramilitarne, utworzone w celu zwalczania wojskowej dyktatury, zostaną szybko rozwiązane. Niestety, tak się nie stało i demokratyczny rząd prezydenta Patricio Aylwina nie może już dłużej zwlekać. W marcu br. w zamachu zginęli lekarz wojskowy i jego żona, policjant oraz znany prawicowy senator Jaime Guzman.

Armia utrzymuje, że to właśnie ona najlepiej nadaje się do zwalczania terrorystów. Być może tak jest, zważywszy na fakt, że jeszcze nie tak dawno sprawowała ona kontrolę nad (rozwiązaną dziś) policją polityczną (Państwowy Ośrodek Informacji). Jednak rząd sprzeciwia się żądaniu armii. Zamierza wprowadzić przepisy, które zachęcą byłych terrorystów do przekazywania władzom informacji; organizuje również, pod nadzorem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, specjalną grupę antyterrorystyczną, której działalność koordynować będzie cywil. Grupa współpracować będzie z wywiadem tajnej policji i policji mundurowej.

Policja mundurowa, dowodzona przez generała Rodolfo Stange, formalnie pozostaje w dobrych stosunkach z nowym rządem. Jednak wielu jej oficerów, szczególnie z jednostki specjalnej, zwykło nadal postępować według starych, brzydkich metod. W ostatnich tygodniach przeprowadzili oni kilka akcji w stołecznych dzielnicach biedoty, poszukując terrorystów. Działali przy tym z taką samą, jak dawniej brutalnością, co z pewnością nie pomoże w odzyskaniu zaufania u obywateli.

Informacje na temat organizacji terrorystycznych nie są zbyt obfite. Szacuje się, że jedna z dwóch aktywnych wciąż grup, Patriotyczny Front im. Manuela Rodrigueza liczy nie więcej niż 100 ludzi. Przywódcy frontu szkoleni byli na Kubie i w byłych państwach komunistycznych. Niektórzy zdobywali doświadczenie w Nikaragui i Salwadorze. Zmiany w Europie Wschodniej pozbawiły ich poparcia z zewnątrz. Eksperci rządowi przypisują terrorystom z frontu niedawne napady na banki — chodziło o uzyskanie środków na potrzeby organizacji. Udało im się również przeprowadzić kilka akcji propagandowych, równolegle w różnych regionach kraju. Jednak zduszenie ich aktywności jest tylko kwestią czasu.

Jeśli chodzi o grupę MAPU-Lautaro (i jej różne podgrupy), brak jest wiarygodnych danych na temat jej liczebności. Wydaje się, że jej członkami są głównie młodzi, bezrobotni mieszkańcy miast, włóczące się dzieci z Santiago i Concepcion. Uprawiają oni działalność partyzancką w wolnym czasie, którego zresztą mają bardzo dużo. Szczególną nienawiść żywią do Kościoła Mormonów, którego świątynie (obok przedstawicielstw amerykańskich banków) są częstym celem ich zamachów bombowych. Członkowie MAPU-Lautaro napadają również na pojedynczych policjantów, zabijają ich w celu zdobycia broni oraz na ciężarówki z żywnością, aby później zawartość rozdzielić między biedaków.

Ostatnie zamachy terrorystyczne zostały potępione przez wszystkie siły polityczne i społeczne (w tym przez komunistów, którzy przyczynili się do powstania Patriotycznego Frontu im. Manuela Rodrigueza).

Niemcy

NIEUCHWYTNI RAF-owcy

Tak wyglądała Ulrike Meinhof — jedna z przywódczyń lewicowego terroryzmu. zdj. arch.

Od roku 1982, z wyjątkiem przypadkowego sukcesu jakim było ujęcie Evy Hanle-Frimpong, w policyjną sieć nie wpadł żaden z przywódców Frakcji Czerwonej Armii (RAF).

Terroryści z tzw. III pokolenia grupy „Baader-Meinhof" nie zostawiają śladów. Prowadzący śledztwo w sprawie zamachów terrorystycznych nie wiedzą nawet, kto należy do bojówek podkładających bomby, a które osoby wykonują wyroki przez zastrzelenie.

Istnieją poważne rozbieżności ocen tego hermetycznego środowiska. Pracownicy Federalnego Urzędu Kryminalnego w Wiesbaden wątpią np. w istnienie scentralizowanego podziemnego dowództwa RAF. Natomiast przedstawiciele Urzędu Ochrony Konstytucji są przekonani, że takowe nie tylko istnieje, lecz działa według starych schematów partyzantki miejskiej, korzystając z sieci łączników i zakonspirowanych mieszkań.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że niedawne (1 kwietnia br.) zabójstwo Detleva Rohweddera to początek długo przygotowywanej akcji. Podejmując ofensywę przeciwko zjednoczonym Niemcom, RAF chce, uderzając w tzw. kompleks wojskowo-przemysłowy, zbić kapitał na niezadowoleniu mieszkańców byłej NRD.

Zagrożeni są więc zarówno politycy, jak urzędnicy państwowi i przemysłowcy. Wielu z nich znajduje się pod stałą ochroną. Miał ją jednak również Rohwedder, a mimo to nie uniknął śmierci.

„Urząd Ochrony Konstytucji i policja już przed prawie 10 laty zgubiły terrorystów na swym radarowym ekranie" — twierdzi emerytowany szef Federalnego Urzędu Kryminalnego Horst Herold.

„Po prostu nie wiemy, jak mamy się dobrać do tych terrorystów — powiedział minister sprawiedliwości Klaus Kinkel. — Przyznam otwarcie, że są oni nam w ogóle nie znani".

Nic więc dziwnego, że uchodzący za następcę Rohweddera dotychczasowy szef administracji jego urzędu Jens Odewald podziękował za awans...

MAT

Mongolia

FALA PRZESTĘPCZOŚCI

Do niedawna Mongolia należała do grupy niewielu krajów stosunkowo bezpiecznych i nie nękanych plagą przestępczości. O gwałtownych, negatywnych zmianach pod tym względem pisze z Ułan Bator korespondent „Reutera".

Fala przemocy i okrutnej niekiedy przestępczości wstrząsa od pewnego czasu Mongolią — krajem, którego mieszkańcy unikają głośnego mówienia, a witają się ze sobą, używając formułek w rodzaju „istnieje wspaniały pokój".

Liczba zabójstw wzrosła w pierwszym kwartale br. przeszło dwukrotnie w porównaniu z danymi odnoszącymi się do pierwszych trzech miesięcy ub.r. Według oficjalnych danych wskaźnik przestępczości wzrósł w okresie minionego roku o prawie 20 proc.

Oczywiście Ułan Bator nie jest jeszcze Nowym Jorkiem, ale i tu po zmierzchu bandy chuliganów, często chwiejących się na skutek nadużycia alkoholu, stanowią zagrożenie dla przechodniów w uliczkach między drewnianymi płotami, oddzielającymi kwartały jurt bądź między blokami mieszkalnymi budowanymi w stylu radzieckim, z gotowych płyt i elementów.

Szefowie mongolskiej policji uważają, że przyczyna pogorszenia się stanu bezpieczeństwa publicznego i ładu społecznego leży w odurzającym tempie przemian demokratycznych, które rozpoczęły się w Mongolii na przełomie 1989 i 1990 r.

W 1990 roku liczba przestępstw zwiększyła się w porównaniu ze statystykami z poprzedniego roku o 18 proc. W pierwszym kwartale br. tendencja wzrostowa utrzymała się i wszystko wskazuje na to, że w br. zostanie osiągnięty smutny rekord — ok. 10 tys. czynów przestępczych w kraju, mającym tylko nieco ponad 2 mln mieszkańców.

W nowym systemie łatwiej jest popełniać przestępstwa, ponieważ stary system był bardziej monolityczny lub — jak to niektórzy określają — dyktatorski. Taką opinię wyraża Baastyn Purew, który przed przejściem do pracy w policji był generałem w armii mongolskiej.

— Wszystko się zmieniło — wskazuje gen. Purew — polityka, społeczeństwo, ideologia, a to prostą drogą prowadzi do wzrostu przestępczości i destabilizacji. W 1990 r. w samym Ułan Bator wskaźnik przestępczości wzrósł o 30 proc. w porównaniu ze stanem w roku poprzednim.

Bandy i gangi popełniają 42 proc. wszystkich przestępstw. Mongolskie środki przekazu szeroko opisywały kryminalne czyny grupy składającej się z 9 młodych ludzi, którzy, dysponując skradzionym samochodem, pistoletem, obrzynem, nożami i maskami z nylonowych pończoch, terroryzowali i wiązali ofiary, a następnie obrabowywali sklepy i mieszkania. Obezwładnić przestępczy gang udało się dopiero wtedy, gdy grupa policjantów z oddziału do zadań specjalnych, wyćwiczonych w walce kung-fu, zorganizowała zasadzkę.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy br. zamordowano w Mongolii 55 osób, podczas gdy w czasie całego roku 1990 liczba zabójstw wyniosła ok. 100. Informację tę podała niedawno rządowa gazeta ARDYN ERCH (Prawo Ludowe). Policja nadal poszukuje sprawcy bestialskich zabójstw kobiet, który ma zwyczaj przecinać swym ofiarom żyły w nadgarstkach i zostawiać je, aby się wykrwawiły.

W niebezpieczeństwie są również cudzoziemcy, ponieważ w oczach chuliganów są to po prostu chodzące, wypchane dolarami portfele. Inną przyczyną jest to, że niechęć, a niekiedy nawet nienawiść do Związku Radzieckiego, często przybiera formę atakowania na chybił trafił obywateli ZSRR lub obcokrajowców uznanych za Rosjan.

Szef policji przyznaje, że przestępczość uliczna pozostaje najpoważniejszą formą działalności kryminalnej. Taka tendencja zarysowała się w ub.r. i wszystko wskazuje na to, że utrzyma się ona również w br.

B.

ŚWIĘCI — PATRONI POLICJI

1

„Niechaj tedy uczą wiernych, że prawdziwy kult Świętych polega nie tylko na wielorakości aktów zewnętrznych, ile raczej na nasileniu naszej czynnej miłości, przez którą szukamy dla większego dobra naszego oraz dobra Kościoła zarówno przykładu w życiu Świętych, jak i uczestnictwa w ich wspólnocie oraz pomocy w ich wstawiennictwu." *(II Sobór Watykański: „Konstytucja o Kościele").*

W czerwcu 1948 roku, gdy staliniści w Polsce umacniali swą władzę szykując się do rozprawy z „prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniem", w Komendzie Miejskiej MO w Chorzowie publicznie i uroczyście poświęcono milicyjny sztandar. Po prawej stronie płata, w polu między ramionami Krzyża Walecznych, wyhaftowano sylwetkę patrona — św. Jerzego Smokobójcy.

W czterdzieści dwa lata później zamknął się krąg historii. Na poświęcanych sztandarach KWP w Katowicach i KWP w Częstochowie pojawił się ponownie św. Jerzy — pogromca smoka oraz dewiza: Bóg — Honor — Ojczyzna. Symbolika religijna wróciła na policyjne znaki, a nabożeństwa do programu policyjnych obrzędów. Procesowi temu towarzyszyły spory zwolenników i przeciwników restytucji religijnych pierwiastków w życiu państwowych instytucji. Pierwsi doznawali uczucia satysfakcji z przywrócenia dawnych tradycji w formacji służącej przecież katolickiemu w przeważającej mierze narodowi. Oponenci zaś zauważyli, iż umieszczanie katolickich treści na sztandarach kłóci się z założeniem odpolitycznienia i odideologizowania Policji, a ponadto obraża uczucia funkcjonariuszy niewierzących i inaczej wierzących.

Wierzący w postaciach świętych widzą idealny przykład wypełniania norm religijnych przez osoby obdarzone wyjątkowym charyzmatem i głębią przeżyć wewnętrznych, opromienionych łaską. Niewierzącym oraz wyznawcom innych religii (protestanci np. całkowicie negują doktrynę orędownictwa świętych w niebie) pozostaje, po odrzuceniu nimbu świętości, uznawanie autorytetu moralnego rzeczywistych albo fikcyjnych postaci, które na trwałe weszły do skarbca ogólnoludzkich i ponadczasowych mitów i tradycji kultury.

Zacznijmy od rzeczonego św. Jerzego, którego kult ujawnił się w V wieku, choć już dużo wcześniej Konstantyn Wielki erygował w Konstantynopolu, (założonym w 324 roku) kościół pod jego wezwaniem. O samym świętym wiadomo niewiele, ponieważ dokumenty tyczące jego osoby sfałszowali starożytni heretycy. Jerzy z Liddy był według tradycji chrześcijańskiej trybunem, czyli wysokim oficerem w legionach rzymskich. Pochodził z Kapadocji. Przypuszcza się, iż zginął męczeńsko podczas prześladowania chrześcijan za Dioklecjana, około 303—305 roku, torturowany na katowskim kole i wielokrotnie przybijany do krzyża. Tak zemścił się cesarz za zdarcie przezeń z murów Nikomedii edyktów wymierzonych przeciwko wyznawcom Chrystusa. Inne przekazy odpowiedzialnością za śmierć Jerzego obwiniają króla Persów, Dadianasa.

Legenda przypisująca św. Jerzemu zgładzenie smoka nękającego ludzkość (analogia do mitu o Andromedzie i Perseuszu) rozprzestrzeniła się w epoce krucjat, szczególnie za sprawą oddziału krzyżowców stacjonujących koło Liddy, którzy w 1010 roku odbudowali świątynię ku jego chwale. Bardzo wcześnie, kult świętego przyjął się w Polsce — jego imię znalazło się w tytule kaplicy grodowej Piastów w Gnieźnie. Czcili św. Jerzego mieszkańcy Wielkiego Nowogrodu, a w Księstwie Moskiewskim trafił do herbu państwowego i na monety. Na Rusi, Juriew Dień, wielkie święto kościelne obchodzono od 1053 roku, na pamiątkę konsekracji kijowskiej cerkwi św. Jerzego, ufundowanej przez Jarosława Mądrego. Już w XII wieku ustanowiono krzyż i wstęgę gieorgijewską, najchwalebniejsze odznaki zasług, nadawane przez carów Rosji za czyny niezwykłe i wielkie, które na obdarowanego sprowadzały olbrzymie przywileje w państwie samodzierżawia.

Ordery św. Jerzego, jako najcenniejsze odznaczenia państwowe wprowadzono również w Bizancjum (1191 r.), w krajach niemieckich, w Austrii (1470) i w Rzymie (1492). Za panowania królów normandzkich obwołano św. Jerzego patronem Anglii (1222), a Edward II wstąpiwszy na tron nazwał jego imieniem najznaczniejsze trofeum rycerskie, zwane też Orderem Podwiązki, nadawane wtedy uczestnikom angielsko-francuskiej Wojny Stuletniej. Kościół grecki określa św. Jerzego tytułem „Wielkiego Męczennika", a poświęcony mu dzień uznaje za jedno z najznamienitszych świąt.

Sporo państw uznało świętego za patrona. Oprócz wymienionej Anglii, także Portugalia i Litwa, a dawniej Aragonia i Genua. Tradycyjna hagiografia przypisała mu miano opiekuna zgromadzeń religijnych i rycerskich, płatnerzy, mincerzy, siodlarzy, pasterzy i rolników (greckie georgos znaczy: rolnik) oraz orędownika bezpłodnych kobiet, szpitali i... koni.

Ikonografia kościelna przedstawia św. Jerzego zazwyczaj na koniu, w pełnej zbroi rycerskiej, z włócznią i proporcem, zajętego zmaganiami ze smokiem (por. o. Hugo Horver: „Żywoty Świętych Pańskich"). Takie wyobrażenie wykształciło się w XII wieku i było szczególnie żywotne w folklorze. Stanowiło bowiem czytelną alegorię triumfu Boga nad szatanem, chrześcijaństwa nad pogaństwem, dobra nad złem. Z tego też powodu postać świętego to częsty, centralny motyw miniatur i ikon bizantyjskich i ruskich, a także płócien malarzy zachodnioeuropejskich od XIII do XV wieku.

Średniowieczni apologeci wzmiankują o jeszcze jednym św. Jerzym, czczonym 27 lipca, męczenniku, mnichu z klasztoru św. Sabasa w Jerozolimie, który w IX wieku wędrował przez Egipt i Hiszpanię, jako kwestarz. Podróże owe przypadły na moment, gdy w kalifacie kordobskim, po latach swobód dla wyznawców chrześcijaństwa, w wyniku zaostrzonych walk w łonie islamu zatriumfowała muzułmańska ortodoksja. Na falę nietolerancji aresztowano Jerzego wraz z Natalią i jej mężem Aureliuszem (oboje porzucili Wiarę Proroka dla wiary Chrystusa) oraz ich krewnym Feliksem (odstępcą od chrześcijaństwa, który się nawrócił). Zarzuty wobec Jerzego okazały się bezzasadne; ten wszakże w obecności sędziego zelżył Mahometa. Całą czwórkę zgładzono 27 lipca 852 roku, a wkrótce Kościół wyniósł ich na ołtarze.

A teraz niespodzianka. Otóż obradująca w trakcie Vaticanum II (1962—65), Watykańska Rada Ekumeniczna na podstawie studiów historycznych doszła do wniosku, iż 30 świętych figurujących w „Martyrologium Romanum", urzędowym wykazie męczenników Kościoła, który ukazał się w 1584 roku pod auspicjami Grzegorza XIII, nigdy nie istniało, jest wytworem fantazji. W 1969 roku papież Paweł VI dokonując reformy spisu, skreślił z grona świętych m.in. św. Mikołaja, św. Barbarę, św. Krzysztofa, św. Katarzynę i właśnie... św. Jerzego.

Nieoczekiwanie więc okazuje się, że św. Jerzy na sztandarach policyjnych zyskuje wymiar symbolu światopoglądowo neutralnego, a raczej ambiwalentnego. Głęboko osadzony w tradycji chrześcijańskiej nie jest jednocześnie uznawany za oficjalnego świętego. Pozostaje piękna legenda personifikująca odwieczne zmagania dobra ze złem, znajdująca zrozumienie katolików, niekatolików oraz niewierzących.

ADAM K. PODGÓRSKI
zdj. Jerzy Ostrowski i arch.

Obwoluta koloru jasnożółtego wygląda jak nowa. Doskonały karton i papier wypełnia zszyte lnianymi nićmi akta sprawy. Mało prawdopodobne, by móc w takim stanie znaleźć inne, choćby tylko z 30-letnim stażem.

Na pierwszej stronie obwoluty jest estetyczna ramka. W jej lewym, górnym rogu widnieje okazała pieczątka, złożona z dużych czerwonych wersalików:

KOMENDA WOJEWÓDZKA PP
URZĄD ŚLEDCZY
W ŁODZI

Pod pieczątką numer ewidencyjny sprawy: K. D. 11 i K. 13—75. Trochę niżej zaś, pośrodku, jedno podkreślone słowo: DOCHODZENIE. Pod nim trzywierszowy, napisany maszyną, tekst uzupełniający: w sprawie postrzelenia śmiertelnego śp. Bolesława Tatary, st. post. PP ze stanu Posterunku PP Aurelów, pow. radomszczańskiego.

Gruby tom dokumentów otwiera „Telefonogram Nr 1", który zacytuję w całości. „O Komendy Powiatowej w Radomsku do Komendy Wojewódzkiej w Łodzi. Przed pół godziną otrzymano telefonicznie zawiadomienie, że w pobliżu majątku Janaszew, gm. Kruszyna, został znaleziony w rowie postrzelony st. posterunkowy Bolesław Tatara. Wśród jakich okoliczności wymieniony został postrzelony nie wiadomo. Na miejsce udał się z oddziałem Policji pan komendant powiatowy. Nadał: Wróbel st. przod. Przyjął: Bobski podkom. Dnia 30 XI 1935 r."

Jako drugi w aktach dochodzenia figuruje protokół sporządzony pismem odręcznym. Czytamy w nim: „Janaszew, dn. 1 XII 1935 r. godz. 1.00. Ja asp. Jan Kozłowicz, kierownik Komisariatu PP w Radomsku, przesłuchałem w sprawie postrzelenia st. post. Tatary Bolesława przez nieznanych złoczyńców: Urbańczyk Józef s. Józefa i Marianny, lat 43, katolik, żonaty, karbowy z majątku Janaszew, który będąc uprzedzony o odpowiedzialności za fałszywe zeznania, zameldował: W dniu 30 listopada r.b. o godzinie 17.50 posłyszałem 4 strzały w kierunku toru kolejowego, w odległości 250 metrów od dworu. Posłyszałem także krzyk „Kto słyszy, ratuj". Zawezwałem fornali: Gonerę Władysława oraz Kaliszczaka Józefa i Kaliszczaka Teofila, z którymi udałem się w kierunku wołania. Gonera Władysław rzucił się pierwszy do wzywającego. W czasie gdy ja przybyłem na miejsce wypadku to tam już byli: Gonera Władysław, Kaliszczak Józef i Teofil. Gonera zapytał: „Kto tu leży?". Dano odpowiedź: „Jestem posterunkowy Tatara — ratujcie mnie, bo jestem postrzelony." Już więcej z rannym policjantem nie rozmawialiśmy. St. post. Tatarę zabraliśmy na ręce i zanieśliśmy do mieszkania gajowego Kurasa Kazimierza. Co dalej się działo nie wiem, ponieważ poszedłem po konie, które miały odwieźć policjanta do stacji. Tatarę włożyliśmy do wozu. Gonera zawiózł go do Kłomnic, a ja pozostałem na miejscu. Zeznałem wszystko. Odczytano."

Dół protokołu opatrzony jest podpisem aspiranta Jana Kozłowicza oraz całym imieniem i nazwiskiem przesłuchiwanego Józefa Urbańczyka. Łatwo zauważyć, iż karbowy miał sporo kłopotu z dopełnieniem tej formalności. Kolejne protokoły, po stronie „przesłuchany", zawierają na przemian z trudem zesta-

KONKURS NA REPORTAŻ O PRACY POLICJI

ŻEBY SIĘ ZREHABILITOWAĆ

wione, niby ręką pierwszoklasisty litery imion i nazwisk oraz cyfryki z informacją „niepiśmienny".

Gajowy zajął się posterunkowym dość troskliwie, choć nie darzył go sympatią. Rozpiął mu płaszcz, a pod głowę podłożył poduszkę. Osobiście pobiegł do dworu, by poprosić o jakieś czyste prześcieradło. Pani dziedziczka nie odmówiła. Kazimierz Kuras, z pomocą fornala Teofila Kaliszczaka, obandażował prześcieradłem rannego. Posterunkowy Bolesław Tatara poczuł się znacznie lepiej. Ale wiedząc, że znajduje się w ciężkim stanie, opowiedział dworakom przebieg zajścia.

— Wracałem z Jackowa. Pod drzewem obok strugi zauważyłem dwóch mężczyzn. Na ich pytanie kto idzie, odpowiedziałem „swój". Wtedy oni oddali do mnie dwa strzały. Tracąc z bólu jasność widzenia nie pamiętam jak napastnicy wyglądali. A czułem, że się zbliżyli i stanęli prawie nad moją głową.

Ranny poprosił fornala Władysława Gonerę, by zawiózł go do Kłomnic, gdzie mieszkał znajomy Tatary, lekarz o nazwisku Grajkowski.

Fornale spełnili tę prośbę. Zobowiązali się również zawiadomić rodzinę policjanta.

Gdy furmanka z rannym ruszyła w drogę, gajowy Kazimierz Kuras zebrał kilku pracowników dworskich. Kazał im zabrać z sobą naftowe latarnie. Grupą udali się na miejsce tragicznego wydarzenia, by znaleźć kilka przedmiotów należących do st. post. B. Tatary. Na polance przy stawie znaleźli policyjną czapkę, służbowy rower, karabinek, pas główny, ładownicę, pelerynę, skórzaną torbę, latarkę bateryjną, gwizdek, wieczne pióro i rękawiczki. Mimo skrupulatnych poszukiwań nie udało się im natomiast znaleźć rewolweru.

Zawiadomiony wcześniej telefonicznie lekarz Grajkowski stał już przed swoim domem. Oczekiwał przybycia rannego. St. post. Tatara znajdował się w stanie krytycznym. Po drodze stracił przytomność. Odzyskał ją po zastrzyku z morfiny.

Lekarzowi towarzyszyła prawie cała załoga posterunku PP z Aurelowa. Policjanci przybyli do Kłomnic wraz ze swym komendantem. Próbowali dowiedzieć się od Bolesława Tatary, kto go postrzelił. Próby paliły na panewce. Tatara majaczył. Raz tylko, będąc odrobinę przytomniejszy, powiedział, że on również strzelił do napastników. Nie udało mu się strzelić powtórnie, gdyż karabin się zaciął.

Dr Grajkowski przynaglał. Prosił pana komendanta, by zaniechał pytań i pozwolił zabrać Tatarę do gotowej już karetki. Komendant zgodził się. Karetka na sygnale pomknęła w kierunku Częstochowy, policjanci zaś udali się na miejsce przestępstwa zabezpieczone fizycznie przez robotników rolnych z majątku Janaszew.

Krótko przed północą st. post. Bolesław Tatara został przyjęty do szpitala Najświętszej Marii Panny w Częstochowie. Przy rozbieraniu Tatary z jego odzieży wyleciał pocisk kal. 7.65 mm o pancerzu niklowym, zawierający łatwo dostrzegalne bruzdy i gwinty. Pocisk zabezpieczyli obecni w szpitalu przedstawiciele częstochowskiej Policji Państwowej z komendantem powiatowym i kierownikiem Wydziału Śledczego KP PP.

Lekarze dokonali zabiegu otwarcia jamy brzusznej B. Tatary. Stwierdzono dużą ilość krwi oraz dwie rany postrzałowe jelita. Strzały, zdaniem lekarzy, zostały oddane z bardzo bliskiej odległości.

W nocy z 30 listopada na 1 grudnia 1935 roku st. post. Bolesław Tatara zmarł. 4 grudnia w Kłomnicach odbył się jego pogrzeb. Na czele żałobnego konduktu szedł ksiądz i starosta powiatu radomszczańskiego. Za trumną kroczył oddział Policji. Kondukt zamykały długie szeregi dziatwy szkolnej i okolicznej ludności.

Tymczasem najlepsi policjanci z Wydziału Śledczego penetrowali miejsce zamachu na policjanta z Aurelowa. U podejrzanych o udział w zbrodniczym czynie przeprowadzono rewizje. Osobowe wersje kryminalne dotyczyły głównie komunistów, anarchistów i endeków. Wszystkie z wymienionych ruchów politycznych miały w powiecie radomszczańskim swe odpowiedniki; jawne lub ukryte. Każdy z ich przedstawicieli zamieszkujący w wioskach gm. Kruszyna musiał przedstawić alibi. Rozliczano go z każdej minuty spędzonej po południu 30 listopada 1935 roku. Badaniom śledczym towarzyszyły rewizje. Dziesiątki policjantów przetrząsały ubogie izdebki w dworskich barakach, gdyż „politycznymi" byli przeważnie oborowi i fornale, częstokroć nie posiadający nawet własnych łóżek i pościeli.

Jednym z głównych podejrzanych, a zarazem aresztowanych, był 26-letni Stefan Janicki, syn Piotra i Marianny, zamieszkały we wsi Zdrowa, kawaler, bezrobotny, karany za kradzież drzewa z lasu karą trzymiesięcznego aresztu. Wśród znajomych rozgłaszał, iż należy do Stronnictwa Narodowego. Podczas przesłuchania wyjaśnił, że 30 listopada w godzinach 8.00—16.00 młócił cepami zboże u Józefa Szymczaka. Stamtąd udał się do Stanisławy P., z którą zamierzał się ożenić. Przybył do niej „w czasie zapalania lampy" i przebywał ponad cztery godziny. U młodej panny zastał Stanisława M., również konkurenta do ręki urodziwej dziewczyny.

Obydwu traktowała jako „dziadów". Śnił się jej nadal, w charakterze męża, „gospodarz", choćby na pięciu morgach gruntu lub karbowy z majątku.

Konkurent Stanisław M. nie zaprzeczył, iż przebywał u Stanisławy P. razem z Janickim. Jednakże spróbował podłożyć mu nogę. Twierdził, że nie pamięta o której godzinie Stefan przyszedł, a ich wspólna panna zapalała tego wieczoru lampę trochę później niż zwykle. Powiedział również o pistolecie, który rzekomo miał posiadać Janicki. Ktoś widział, że to „Hiszpan".

Reakcja policjantów była natychmiastowa. Izdebkę, w której mieszkał wraz z matką Stefan Janicki przetrząśnięto kilka razy. Gliniany trzon izby zastępujący podłogę rozbito kilofami. Ale pistoletu nie znaleziono.

Śledztwo stanęło w martwym punkcie. Wszystkie wysiłki zmierzające do odnalezienia służbowego pistoletu Bolesława Tatary spełzły na niczym. Upadły najbardziej prawdopodobne koncepcje. Pozostała jeszcze jedna, którą postanowiono sprawdzić bez względu na koszty. Chodziło o osuszenie stawu, obok którego dokonano napadu na Bolesława Tatarę. Spuszczaniem wody kierował przodownik służby śledczej Józef Kwiatkowski. Odniósł on wielki sukces. Na dnie stawu nie opodal brzegu, Kwiatkowski odnalazł pistolet automatyczny syst. „Hiszpan" kal. 7,65 mm nr 75043 z sześcioma nabojami, z których jeden tkwił w lufie. Pistolet należał do st. post. Bolesława Tatary.

Broń oraz znalezioną na miejscu wydarzenia łuskę, a także wystrzelony pocisk, który wypadł z odzieży st. post. B. Tatary, w szpitalu w Częstochowie przesłano do Laboratorium Policyjnego przy Komendzie Głównej PP w Warszawie celem identyfikacji. Odpowiedź nadeszła już po kilku dniach. Policyjni eksperci stwierdzili, że znaleziona łuska „dowodu rzeczowego" wystrzelona została z pistoletu „Hiszpan" nr 75043. Taki sam rezultat dały badania pocisku znalezionego przed operacją st. post. Tatary.

Wyniki ekspertyz zmieniły w sposób zasadniczy kierunek śledztwa. Funkcjonariusze z Urzędu Śledczego PP w Łodzi, jak również policjanci z powiatu radomszczańskiego otrzymali nakaz zaprzestania dalszych przesłuchiwań i rewizji w mieszkaniach osób podejrzanych. Coraz twardszy stawał się bowiem grunt pod hipotezę, iż st. post. Bolesław Tatara dokonał samozamachu. Desperacki czyn był konsekwencją służbowych przewinień.

Przeciwko st. posterunkowemu Bolesławowi Tatarze oraz post. Henrykowi Ślaskiemu toczyło się dochodzenie. Prokurator zarzucał obu policjantom „bezczynność władzy". Otóż, jak stwierdził komendant Posterunku PP w Aurelowie, w nocy z 23 na 24 lipca st. post. Bolesław Tatara pełnił dyżur. Jego pomocnikiem był posterunkowy Henryk Ślaski. Około godz. 23.00 Tatara przyjął meldunki o kradzieży pary koni. Pokrzywdzonymi byli Józef Kmiecik i Michał Rozpędek, mieszkańcy wsi Witkowice, gm. Rzeki.

Na Bolesławie Tatarze jako pełniącym wtedy obowiązki komendanta posterunku spoczywał szczególny obowiązek. Zgodnie z instrukcją, winien był on zamknąć posterunek i bezzwłocznie udać się wraz z posterunkowym Ślaskim na miejsce przestępczych wydarzeń. Tego obydwaj funkcjonariusze nie uczynili. Pod pozorem konieczności załatwienia innych, również, ich zdaniem, nie cierpiących zwłoki spraw, przesunęli interwencję o kilka godzin. St. post. Bolesław Tatara zrozumiał swój błąd po czasie. Sprawcy kradzieży koni zdołali ujść bezkarnie. Deszcz, który spadł przed świtem, zatarł wszelkie ślady.

St. post. Bolesław Tatara, w intencji pomniejszenia swej winy, sfałszował zapis w notatniku służbowym. Podał czynności, których tejże nocy nie wykonał.

— Co ja zrobiłem! Chyba nie przeżyję tego — powiedział jednemu z przyjaciół.

Przygnębienie i apatia obydwu policjantów były aż nadto widoczne. Szczególnie zaś u st. post. Bolesława Tatary. Chciał się jakoś zrehabilitować. Pracował wytrwale i ponad siły. Pragnął zasłużyć sobie w tym okresie na słowa uznania. Lecz myśl o czynie niegodnym policjanta zatruwała mu życie.

Czy chciał z sobą skończyć?

Raczej nie. Chyba jednak doszedł do wniosku, że tylko jakiś niezwykły czyn może go przynajmniej częściowo zrehabilitować. Czyn bolesny i poniekąd bohaterski. Takim czynem, w przeświadczeniu st. post. Bolesława Tatary mógł być sfingowany napad na jego osobę. Skoro bowiem przestępcy dokonują zamachu, oznacza to, iż policjant jest dobrym stróżem porządku prawnego — kalkulował, jak się wydaje, zdesperowany funkcjonariusz.

Mierząc do siebie z własnego pistoletu, chciał spowodować jedynie samookaleczenie, lecz stało się inaczej. Próbę rehabilitacji przypłacił życiem.

„Kwant"
EDWARD NOWAK

STAN KRY

KONKURS

NA REPORTAŻ O PRACY POLICJI

W tym reportażu nie będzie strzelaniny, pisku opon i szczęku kajdanek. Nie będzie także genialnego porucznika — przepraszam, komisarza — Borewicza. Przedstawię w nim obserwację z dwóch dni zwykłej, mało efektownej, codziennej pracy warszawskiej drogówki.

CZWARTEK, DZIEŃ PIERWSZY

Przed budynkiem Wydziału Ruchu Drogowego KSP dosiadam się do poloneza z sekcji pogotowia wypadkowego. Do tej sekcji trafiają policjanci z dużym stażem pracy na innych stanowiskach w służbie ruchu, wyróżniający się, znakomicie przygotowani merytorycznie fachowcy. Załogę „mojego" radiowozu stanowią aspiranci: Tadeusz Oprządek — 20 lat w służbie ruchu i kierujący pojazdem Bogumił Jandziński, który w drogówce pracuje od lat 14. Teoretycznie, załogi pogotowia obsługują poważniejsze kolizje, w których są osoby poszkodowane lub duże straty materialne. W praktyce bywa z tym różnie.

Pierwsze wezwanie przekazane ze stanowiska dowodzenia kieruje nas na ul. Młynarską, gdzie miała miejsce kolizja tramwaju z małym fiatem. Brzmi to groźnie, ale gdy przybywamy na miejsce okazuje się, że zderzenie obsługują już inspektorzy ruchu z MZK, maluch jest lekko uszkodzony, a kierujący nie doznał żadnych obrażeń. Odjeżdżamy patrolować rejon.

Pół godziny później, gdy byliśmy na ul. Górczewskiej dostajemy wezwanie na Starzyńskiego. Przy zjeździe z wiaduktu zderzenie z potrąceniem. Od miejsca wypadku dzieli nas prawie pół miasta. Aspirant Jandziński prowadzi spokojnie, bez brawury, powiedziałbym — mało efektownie. Nie włącza syreny ani „koguta". Wydaje się nawet, że jedzie zbyt wolno. Ale to tylko złudzenie: mimo że ostatnie kilkaset metrów przeciskamy się chodnikiem, omijając korek, który zaczyna się już na moście, czas dojazdu wynosi tylko 12 minut. — Tu można chociaż dojechać chodnikiem — komentują policjanci. — Wypadek na Trasie Łazienkowskiej powoduje zablokowanie wszystkich pasów ruchu tak, że można się tam dostać jedynie helikopterem. — To oczywiście żart, jakoś dają sobie radę, na przykład jadąc pod prąd drugą jezdnią, ale wyobraźnia projektantów Trasy nie przewidujących pasa awaryjnego, czy choćby zatok pozwalających unieruchomić uszkodzony pojazd, jest doprawdy godna podziwu.

Wypadek jest na szczęście również znacznie mniej groźny niż wynikało z komunikatu. Na przejeżdżającego przez przejście dla pieszych wojskowego UAZ-a wytoczył się z przystanku pijany mężczyzna, który odbił się od boku samochodu. Pogotowie zabrało go do szpitala. Jak wynika z oświadczeń kierowcy, dysponenta pojazdu i postronnego świadka, nie ma żadnych wątpliwości co do ustalenia winnego, a pijanego pogotowie zabrało tylko „na wszelki wypadek", bo nie odniósł żadnych obrażeń. Nie oznacza to jednak, że można zaniechać całej skomplikowanej procedury.

— Nigdy nic nie wiadomo — mówi asp. Oprządek. — Niedaleko stąd, z wiaduktu stoczył się samochód (notabene zarówno kierowca, jak i pasażerowie byli nietrzeźwi). Na dodatek jeden z pasażerów wypadł i został przygnieciony przez auto. Przeżyli wszyscy, odnosząc niewielkie obrażenia. W innym wypadku, który na pozór wyglądał zupełnie niegroźnie, a na samochodzie pozostawił płytkie wgniecenia wielkości paznokcia, poszkodowany nie przeżył.

Policjanci rozpoczynają rutynowe postępowanie. Dokładne pomiary miejsca wypadku niezbędne do sporządzenia szkicu sytuacyjnego, rozmowa z wojskowymi i świadkiem, spisywanie personaliów, kontrola trzeźwości kierujących, oględziny zewnętrzne samochodu (żadnych śladów uderzenia) i bardzo dokładne sprawdzenie stanu technicznego UAZ-a. Jeszcze jazda próbna, którą wykonuje asp. Jandziński. Pisanina, pisanina, pisanina. To tylko notatki — pełna dokumentacja zdarzenia, zajmująca kilkanaście stron zostanie sporządzona po zakończeniu służby. Teraz Szpital Praski, do którego przewieziono poszkodowanego.

Mężczyzna nie ma żadnych widocznych obrażeń. Wygląda na to, że jedyne, co jest mu potrzebne, to sen. I... właśnie zdejmuje buty, by się położyć. Upojenie alkoholowe sprawia, że jest całkowicie niekontaktowy. Na szczęście ma dowód osobisty, można spisać jego dane. Lekarz jest zdania, że nie stało mu się absolutnie nic. Ale trzeba wykonać podstawowe badania, ściągnąć z oddziału specjalistów na konsultację. Dopiero potem można go odwieźć do izby wytrzeźwień. Ten pijany mężczyzna będzie przez kilka godzin absorbował wiele osób i środków technicznych. Po zakończeniu całej sprawy, może za miesiąc, stanie przed kolegium. Może gdyby obciążono go, wymiernymi przecież kosztami badań, przewozów i pracy wielu ludzi — nie starczyłoby mu na kolejną butelkę. Teraz (pominąwszy koszty pobytu w izbie wytrzeźwień) płacimy za niego wszyscy.

Do końca służby miało już zdarzyć się niewiele. Kolizja ciężarówek na rondzie Wiatraczna, do której można by nie jechać, gdyby kierowcy uzgodnili, kto jest winien. Asp. Oprządek występujący z konieczności jako arbiter nie ma żadnych wątpli-

YTYCZNY

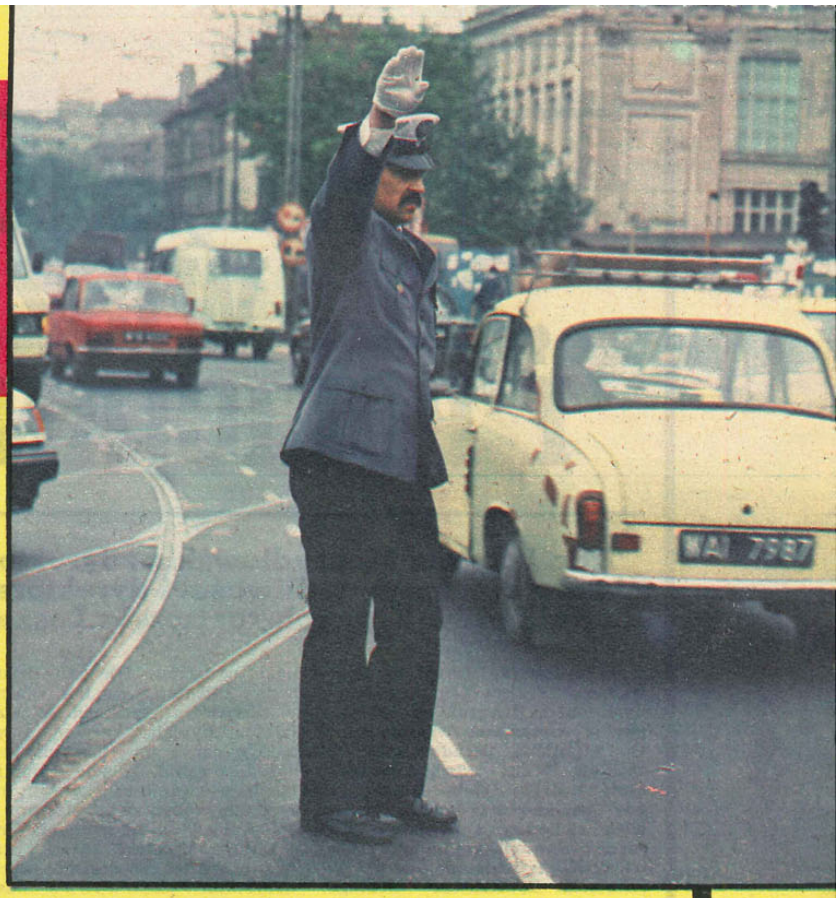

gą jezd-
ojektan-
dujących
ćby za-
uchomić
doprawi-

szczęście
groźny
atu. Na
przejście
UAZ-a
ku pija-
dbił się
ogotowie
Jak wy
ierowcy,
stronne-
żadnych
nia win-
wie za-
wypa-
nych o-
jednak,
j skom-

o — mó-
eko stąd,
samochód
s, jak i
. Na do-
wypadł i
z auto.
niewiel-
wypadku,
zupełnie
zie pozo-
wielkości
nie prze-

rutynowe
pomiary
do spo-
ego, roz-
wiadkiem,
kontrol
oględzin
nych śla
dokładne
nnicznego
na, którą
Pisanina,
o notat-
zdarze-
stron zo-
kończeniu
, do któ-
lowanego.
nych wi-
na to,
zebne, to
buty, by
koholowe
niekon-
dowód o-
go dane.
stało mu
zeba wy-
ściągnąć
konsulta-
go od-
Ten pi-
zez kilka
b i środ-
kończeniu
siąc, sta-
dyby ob-
przecież
i pracy
łoby mu
(pomi-
zbie wy-
wszyscy.

ało już
izja cię-
traczna,
jechać,
ili, kto
lek wy-
i jako
wątpli-

wości i kończy sprawę 100-tysięcznym mandatem. Ruch jest odblokowany, po kolizji nie zostaje śladu. Z usuwaniem pozostałości po wypadkach bywa różnie — MPO nie chce wyjeżdżać poza granice miasta, a po wypadku pozostaje na przykład rozlany olej, który zagraża bezpieczeństwu ruchu (nie kwapi się również do uprzątnięcia ulicy, po której nie kursują środki komunikacji miejskiej). Te śmieszne spory kompetencyjne należy pilnie rozstrzygnąć. Również niektóre spółki sprawujące pieczę nad oświetleniem nie są do swojej działalności technicznie przygotowane. Zdarza się, że do przewróconej w poprzek jezdni latarni, przyjeżdża odpowiedzialny pracownik... małym fiatem. I jest oczywiście bezradny — dźwig z państwowego przedsiębiorstwa może wypożyczyć dopiero następnego ranka.

Patrolując ulice wspomagamy jeszcze policjanta, który ujawnił pijanego kierowcę, a ze swej przenośnej radiostacji za nic nie może połączyć się ze stanowiskiem dowodzenia i poprosić o przysłanie radiowozu. Policjant stoi na rogu ulic Świętokrzyskiej i Emilii Plater. Od odbiornika w Pałacu Mostowskich dzielą go jakieś 2 kilometry...

Zjeżdżamy na Żytnią. „Moja" załoga, wraz z innymi kończącymi służbę, będzie jeszcze długo sporządzała dokumentację zdarzeń dzisiejszego dnia, który był dość spokojny. W ciągu 12 godzin „załatwili" 3 wypadki. A bywa, że trafi się siedem, niekiedy poważnych. I wtedy jest naprawdę kocioł.

Kończące służbę załogi przygotowują dokumentację w jednym pokoju, w którym są już także ekipy służbę obejmujące. W sumie kilkanaście osób. Odechciewa mi się liczyć metry kwadratowe przypadające na jednego funkcjonariusza i z podziwem oglądam policyjny sprzęt. Szczególnie imponująco wygląda olbrzymia latarka halogenowa, bardzo przydatna w trakcie oględzin miejsca wypadku. Waży ładne parę kilogramów (cóż, policjanci nie ułomki), ma akumulatory, które można ładować z sieci 220V, a więc w pomieszczeniu. Jej światło jest bardzo jasne. Przez kilka minut po naładowaniu. Potem, dyskretnie przygasa... Chcę jeszcze przedyskutować walory pojazdu mechanicznego „Polonez 1500" i jego przydatność do np. pościgów, ale wypytywanie o środki techniczne wydaje mi się nietaktem po enuncjacji sympatycznego sierżanta, który pochwalił się, że wkład do długopisu dostał przed kilkoma miesiącami.

SOBOTA, DZIEŃ DRUGI

Z aspirantem Tomaszem Przasnkiem z I kompanii RD umówiłem się na kilka godzin wspólnej jazdy w centrum Warszawy. Zaraz po wjeździe do patrolowanego rejonu spotykamy ładę, która wpadła w poślizg na torach tramwajowych i natarła na słup trakcyjny. Jest trochę pognieciona. kierowca wraz z pasażerem usiłuje odgiąć blachy blokujące koło. Policjant proponuje wezwanie pomocy drogowej, ale właściciel samochodu oświadcza. że będzie próbował zjechać o własnych siłach. Dziękuje za zainteresowanie — kilka minut wcześniej przejeżdżał tędy radiowóz, który nawet się nie zatrzymał.

Na skrzyżowaniu al. Niepodległości i ul. Wawelskiej spostrzegamy FSO 1500, wbitego pod barierę odgradzającą jezdnię od biegnącej poniżej Trasy Ł. Bariera uległa poważnemu zniszczeniu, ale skutecznie wytłumiła energię jadącego samochodu, który zawisł nad trasą. Przy aucie nie ma nikogo. — Skradziony — konstatuje policjant pokazując zdemolowany zamek drzwi kierowcy i wyrwaną stacyjkę. Meldunek na stanowisko dowodzenia i już po chwili uzyskujemy potwierdzenie. Samochód jest poszukiwany przez KRP Warszawa-Ochota. Skradziono go wczoraj. Dyżurny powiadamia pomoc drogową i poleca przetransportować samochód do poszukującej go komendy. Aspirant prosi jeszcze o przysłanie ekipy drogowców do naprawy zniszczonej bariery.

Dokładnie po 15 minutach od złożenia meldunku zajeżdża pomoc drogowa. Wyciągnięcie zaklinowanego samochodu nie jest proste. Trzeba podlewarować barierę, by wyszarpnąć uszkodzony wóz. Trwa to dość długo. W tym czasie funkcjonariusz kieruje ruchem, umożliwiając bezpieczny przejazd obok rozbitego auta i manewrującej pomocy drogowej.

W KRP Warszawa-Ochota aspirant Przasnek zasiada do sporządzenia notatki służbowej, w której opisuje okoliczności odnalezienia poszukiwanego samochodu. Jeden egzemplarz zostawia oficerowi dyżurnemu, drugi zabiera, by dołączyć do dokumentacji przekazywanej swoim przełożonym. Oględzin skradzionego pojazdu dokona teraz inspektor dochodzeniowy, a potem wóz zostanie odholowany na parking strzeżony. Nasza rola jest już zakończona i możemy wracać do patrolowanego rejonu.

Zjeżdżamy na Wisłostradę. Na tym odcinku, na którym stajemy, można jechać 70 km/h. Policjant ustawia graniczną prędkość w radarze na 80 km/h. Po jej przekroczeniu uruchamia się sygnał akustyczny i jednocześnie wyświetla się maksymalna zmierzona prędkość.

To nie jest łatwa praca, przynajmniej w tym miejscu i o tej porze. Samochody jadą trzema pasami ruchu, w dużych grupach uwolnionych spod świateł. Jeżeli prędkość przekroczy auto jadące lewym skrajnym pasem, to „wyjęcie go" z potoku rozpędzonych pojazdów jest bardzo trudne, a nawet dość niebezpieczne dla kontrolera, który musi w tym celu dość szybko wyjść na jezdnię.

Pierwszy zatrzymany samochód to suzuki. Jadący nim młody człowiek nie ma nawet ochoty podejść do radaru, by sprawdzić swoją prędkość — wie, że jechał szybko. Mandat przyjmuje bez słowa sprzeciwu.

Aspirant Przasnek rezygnuje z zatrzymywania samochodów jadących do 85 km/h. — Nie o to chodzi, by jak najwięcej kierowców ukarać — tłumaczy — lecz o to, by sam widok radaru spowodował ostrożniejszą jazdę.

Rzeczywiście, większość kierowców na widok radaru wyraźnie zwalnia. Zapewne przez jakiś czas będą jechali powoli. Być może, jutro, jadąc tą trasą zwolnią na wszelki wypadek, pamiętając o tym, że „tu łapią". I o to między innymi chodzi.

Kolejny zastopowany wóz to VW passat. Ma polskie numery rejestracyjne i niemiecki wyznacznik kraju: „D" — To niedozwolone — stwierdza kontroler i poleca usunąć nalepkę. — Przekroczył pan dozwoloną prędkość o 22 km/h, proponuję mandat w wysokości 100 tys. zł.

— To za dużo — próbuje targów kierujący.

— Ja myślę, że to w sam raz — uśmiecha się policjant — ale oczywiście, może pan odmówić przyjęcia mandatu i wówczas skieruję wniosek do kolegium.

Kierowcy propozycja ta wydaje się jednak mało atrakcyjna i szybko podpisuje mandat.

W garażach Wydziału Ruchu Drogowego KSP oglądam znakomitą kamerę wideo sprzężoną z magnetowidem i współpracującą z małym komputerkiem. Zarejestruje ona jadący nieprawidłowo samochód na taśmie magnetycznej i wyświetli jego prędkość. Kasetę można odtworzyć natychmiast, a ponieważ kamera jest zamontowana w nie oznakowanym samochodzie i trudna do zauważenia, rzeczywiście może utrudnić życie posiadaczom szybkich samochodów, którzy lubią sobie ostro pojeździć.

Podziwiam jeszcze wspaniały japoński motocykl (2 w stolicy) rozwijający prędkość ponad 200 km/h, niezastąpiony w ruchu miejskim i nie dający szans żadnemu uciekającemu w mieście samochodowi. Podziwiam i zastanawiam się, czy jest właściwie wykorzystywany. Parę godzin wcześniej widziałem bowiem, jak stał przed Sejmem, a jego kierowca zabezpieczał wyjazd poselskich samochodów...

MIECZYSŁAW TEER
zdj. Krzysztof Potocki
Krzysztof Mokrzyszewski

O WIĘŹNIACH, „KLAWISZACH" I POLICJANTACH

Z dr. Pawłem Moczydłowskim, dyrektorem generalnym w Ministerstwie Sprawiedliwości i dyrektorem Centralnego Zarządu Zakładów Karnych rozmawia Leszek J. Sroka

Dr PAWEŁ MOCZYDŁOWSKI (37 lat), przed objęciem funkcji dyrektora generalnego w Ministerstwie Sprawiedliwości i dyrektora CZZK — pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego. Żona Marzena jest lekarzem, córeczka Marta ma 1 rok. Hobby — beletrystyka, ulubieni pisarze — Faulkner, Proust i Dostojewski. Tytuł pracy doktorskiej: „Drugie życie instytucji totalnej". W formie książkowej wydana została przez podziemne wydawnictwo KOS. Ukaże się również niebawem w USA. Inna praca pt. „Protesty zbiorowe w zakładach karnych" ukazała się także w Norwegii, nakładem Instytutu Socjologii Prawa Uniwersytetu w Oslo. Jego zainteresowania naukowe, realizowane w praktyce zawodowej dotyczą prawa, socjologii i psychologii. Maksyma życiowa: „...żeby nie pchać się na stołek własnej niekompetencji!".

— Stanowisko dyrektora Centralnego Zarządu Zakładów Karnych objął Pan tuż po okresie, gdy w więzieniach wrzało. Bunty więźniów, pseudostrajki, w których brała udział również część kadry... Wielu sądziło, że gdy „nastał Moczydłowski", człowiek związany z kręgami solidarnościowo-opozycyjnymi, to więzienia zmienią się niemal w sanatoria. Tymczasem niedługo po rozpoczęciu urzędowania obwieścił Pan w TV, że bunty w więzieniach są zjawiskiem niedopuszczalnym i, za pańskiego nimi zarządzania, miejsca mieć nie będą. Czy było to równoznaczne z odcięciem się od formuły „opiekuna więźniów", którym to mianem od razu Pana „ochrzczono" i zdecydowania się na rolę satrapy zakładów karnych?

— Do pierwszego miana nadal się poczuwam, ponieważ uważam, że do moich obowiązków należy także obrona interesów odbywających karę pozbawienia wolności. Żeby uniknąć nieporozumień zastrzegę, że nie oznacza to, iż zamierzam odgrywać rolę dobrego wujka, zajmującego się wyłącznie głaskaniem po główkach, w tym przypadku, więźniarskiej dziatwy i użalaniem się nad jej losem. Chodzi natomiast o to, aby opiekuńcza rola, nie tylko moja, ale wszystkich funkcjonariuszy zakładów karnych, wynikała ze świadomości, że kara więzienia to nie z e m s t a wywierana na człowieku, który dopuścił się przestępstwa, ale okres, podczas którego powinien mieć on autentyczną możliwość resocjalizacji. Musi ta rola opierać się na obopólnej, więźnia i jego strażnika, wierze, że po wyjściu na wolność ów więzień faktycznie zasymiluje się z resztą społeczeństwa jako uczciwy obywatel. Nie powinien on opuszczać murów więziennych, i do tego trzeba dążyć ze wszystkich sił, gorszy, aniżeli był przed przekroczeniem bramy zakładu karnego. Być może jest to cel w obecnych warunkach wyidealizowany, ale należy do niego konsekwentnie zmierzać. Zadaniem „od zaraz" jest definitywne odejście od pokutującego jeszcze tu i ówdzie traktowania więźniów jak, użyję mocnego słowa, podludzi, którym niczego nie wolno poza ślepym wykonywaniem bardziej lub mniej słusznych rozkazów. Nie jest dzisiaj żadną tajemnicą, że tak właśnie w naszych więzieniach w przeszłości bywało. Innymi słowy należy dążyć do prawidłowego ukształtowania relacji funkcjonariusze-więźniowie, tak, aby nie byli oni wobec siebie dwiema, z założenia wrogimi, grupami. Pracownicy zakładów karnych powinni widzieć w więźniu przede wszystkim c z ł o w i e k a, odseparowanego wyrokiem sądu czasowo od świata ludzi wolnych, a ten z kolei nie powinien upatrywać w strażniku tylko niewolącego go „klawisza", którego jedynymi kwalifikacjami są pęk kluczy i podniesiony głos.

Obowiązki oraz prawa jednych i drugich określają stosowne przepisy i regulaminy, których dowolna interpretacja lub przekroczenie są niedopuszczalne. Konieczne jest przy tym przestrzeganie prawidła, że dyscyplina służby więziennej automatycznie przenosi się na więźnia. We właściwej realizacji tych zasad upatruję m.in. gwarancji, że w zakładach karnych panować będzie spokój, że nie powtórzą się tragiczne wydarzenia z końca 1989 r.

Co do drugiej części pytania, w której padło słowo „satrapa", to mogę na nie ostatecznie przystać pod warunkiem, że nie będzie miało ono znaczenia pejoratywnego, nie będzie kojarzyć się z wszechwładnym „paniskiem na własnym folwarku". Można je jedynie rozumieć jako stosunek bardzo wymagającego (ale sprawiedliwego!) szefa wobec podległych mu pracowników.

— Podczas jednej z naszych rozmów wspomniał Pan o potrzebie utworzenia struktur demokratycznych w więzieniach. Wiąże się ów zamysł zapewne z tym, o czym mówił Pan przed chwilą. Ale czy tylko? Na ile jest to w ogóle realne?

— Zacznijmy od ogólnego stwierdzenia, że demokracja może zaistnieć jedynie w społeczeństwach zdyscyplinowanych, w których obywatel otrzymując więcej władzy i przywilejów, dobrowolnie przyjmuje na siebie również więcej obowiązków i większą odpowiedzialność za swoje poczynania. Można je, oczywiście przy pewnych retuszach, przenieść z powodzeniem na grunt zakładów karnych. Pytanie tylko, czy jesteśmy do tego przygotowani, czy stare nawyki i zwyczaje nie są jeszcze zbyt głęboko zakorzenione?

Wyrosły one z ukształtowanego przez wiele powojennych lat stosunku do przestępczości w ogóle, uwarunkowanego marksistowsko-leninowską doktryną polityczną. Przecież po wojnie pojęcie przestępcy kryminalnego bardzo często stanowiło synonim pojęcia wroga klasowego. A do takiej klasyfikacji nie był konieczny np. mord z chęci zysku, wystarczały niewłaściwe poglądy polityczne, pochodzenie, posiadanie własności, prowadzenie działalności handlowej (vide: kułak, burżuj, spekulant, imperialistyczny agent itp.). Z kolei „wroga" nie należało traktować jak zwykłego więźnia, któremu coś w końcu się należy, ale jako „element", który należy zgnębić, „sprowadzić do parteru" i pozbawić należnych mu praw, czyli — wyeliminować z życia społecznego. Powstała w wyniku tego swoista „urawniłowka", polegająca na nierozróżnianiu zwykłego złodzieja od np. autora pism antyustrojowych. Wszyscy oni na równi byli elementem aspołecznym i takie podejście pozwalało przez długi czas na szermowanie twierdzeniem, że w Polsce nie ma więźniów politycznych. Przypomnienie tego jest niezbędne, jeżeli chcemy w ogóle mówić o więziennictwie ucywilizowanym, praworządnym, w którym możliwe stanie się również utworzenie właśnie pewnych struktur demokratycznych. Dodam, niezmiernie ważnych również z punktu widzenia resocjalizacji, której społeczna infrastruktura jest w Polsce bardzo nikła. Ukształtował się natomiast określony model życia więziennego, doprowadzający do wzmożonej deprawacji, zwłaszcza skazanych za jednorazowe, drobne przestępstwa i powodujący w efekcie narastanie zjawiska recydywy. Wystarczy stwierdzić, że obecnie recydywiści stanowią ok. 70 proc. ogólnej populacji więźniów. Winna temu jest nie tylko owa więzienna edukacja, ale również postawa społeczeństwa, które w większości nie potrafi zaakceptować opuszczającego mury więzienne, nadal traktując go jako wyrzutka i jednostkę niebezpieczną. W rezultacie — wpychając na powrót w ramiona środowiska kryminogennego. T[illegible] sytuacji nie zmienią apele i w[illegible]dawanie najświetniejszych nawet przepisów. Trzeba tutaj właściwej polityki karnej, zdecydowanej reformy strukturalnej w zakładach karnych, zrezygnowania z sensu stricto zarządzania nimi, na rzecz sprawowania nadzoru i kontroli nadawanej im coraz większej samorządności, w końcu — ofensywy psychologicznej.

— Jakie konkretne kroki uczynił Pan w tym kierunku?

— Zacząłem od wydania wojny biurokracji w więziennictwie. Przestały istnieć Okręgowe Zarządy ZK. Obecnie 32 naczelników rejonów (są to zarazem najlepsi naczelnicy więzień, łączący obie funkcje) podlega bezpośrednio mnie. Im z kolei podlega 151 zakładów karnych w kraju. Zatrudniają one 20,5 tys. pracowników, przy czym w ub. r. 4 tys. wymieniono. W odróżnieniu od Policji mogę szczęśliwie stwierdzić, że nie borykam się z brakami kadrowymi, chociaż byłoby przesadą powiedzenie, że w tej dziedzinie wszystko jest „na piątkę". Od funkcjonariuszy wymagam doskonalenia wiedzy fachowej, która umożliwi im coraz lepsze wywiązywa-

nie się z nowych obowiązków. Używam tego sformułowania, ponieważ rozpoczęliśmy zmiany struktur organizacyjnych w zakładach karnych. Najogólniej rzecz ujmując, chodzi o to, aby doprowadzić do większej integracji służb więziennych z powierzonymi ich opiece i nadzorowi więźniami. Dlatego tworzymy w zakładach karnych „państewka w państwie", czyli wyodrębnione pawilony lub oddziały wewnętrzne ze stałym kierownictwem i personelem o różnych specjalnościach, od strażników poczynając, a na wychowawcach i psychologu kończąc. Ma to zlikwidować istniejącą dotąd różnicę interesów między poszczególnymi rodzajami służb oraz znieść negatywne zjawisko traktowania więźnia jak piłeczki pingpongowej, przekazywanej raz tu, raz tam. Tzw. klawisz przestanie być tym samym tylko nadzorcą, ale stanie się członkiem kolektywu współdziałającego w rozwiązywaniu różnych problemów więźniów. Odpowiedzialny za to nie będzie już tylko wyłącznie r[illegible]elnik. Przeniesie on wiele s[illegible]ich uprawnień i obowiązków na kierownika takiego pawilonu lub oddziału oraz podległy mu zespół.

— Jest to swego rodzaju trzęsienie ziemi w systemie więziennictwa i upatrywać w nim można tylko pozytywne strony. Skądinąd wiadomo jednak, że dokonuje się ono w szalenie trudnych warunkach. Ulegające stopniowej rujnacji budynki zakładów karnych, panująca w nich ciasnota, to tylko część problemów, z którymi przyszło się Panu borykać. Jakie są prognozy w tej dziedzinie?

— Posłużę się liczbami: 8 obiektów znajduje się w stanie krytycznym i powinny one zostać zamknięte oraz poddane generalnemu remontowi. Na ogólną liczbę ok. 65 tys. (łącznie z ośrodkami pracy) miejsc w więzieniach — 4,5 tys. uległo wy[illegible]eniu na skutek remontu części obiektów.

Więźniowie pracują w 27 przedsiębiorstwach nie będących w gestii CZZK. Powinniśmy je przejąć, ponieważ przy rosnącym bezrobociu istnieje groźba dalszej utraty wielu miejsc pracy dla więźniów. (Aktualnie już 50 proc. więźniów nie ma zatrudnienia). Że byłaby to niepowetowana strata materialna, bo przecież część środków na utrzymanie zakładów karnych czerpie się z tego źródła, nie trzeba nawet wspominać. Ale byłaby to przede wszystkim trudno wyobrażalna strata dla procesu resocjalizacji więźniów, dodatkowo skazanych na bezczynną wegetację. Ten przymusowy urlop więźniów obciąża w większej jeszcze mierze kieszenie podatników, ponieważ z ich pieniędzy ludzie za kratami są utrzymywani. Z tym pogodzić się nie można. Dalej, uważam za nie do końca przemyślaną decyzję przekazania dawnych aresztów milicyjnych do CZZK. Przekazano nam tylko obiekty, bez pieniędzy na ich remonty, modernizację i utrzymanie. W naszych zakładach obowiązuje norma 3 m kw. na więźnia i nie zamierzam tego zmieniać. Efekt, o którym doskonale wiedzą prokuratorzy i policjanci, jest taki, że wolno mi ulokować zatrzymanego lub aresztowanego tylko tam, gdzie dysponuję odpowiednim miejscem. Często jest to kilkadziesiąt lub więcej kilometrów od siedziby prokuratury, lub zainteresowanej komendy. Ile kosztują przewozy aresztanta (specjalny samochód, paliwo, eskorta) na przesłuchanie, nikt nie zapytał i nikt na to środków nie zapewnił. Ponadto ustał jakikolwiek kontakt Policji z aresztantami i więźniami, co powoduje, że po wyjściu na wolność stanowią oni dla policjantów wielką niewiadomą. Ba, nie wiedzą nawet ilu zwolnionych znajduje się na ich terenie, komu z nich trzeba pomóc w znalezieniu pracy, załatwieniu zasiłku, a w skrajnych przypadkach — uchronić przed dintojrą, lub wciągnięciem na nowo do przestępczego procederu. Myślę, że ten stan rzeczy powinien ulec zmianie, ponownemu rozważeniu. Osobiście jestem za tym, aby Policja posiadała swoje areszty. Przedstawione tutaj problemy, z którymi musimy się w jakiś możliwie najbardziej racjonalny sposób uporać, nie wyczerpują tematu.

— Uchodzi Pan za człowieka dalekiego od układności, lub wygodnego w stosunku z wyższymi władzami przytakiwania. Głośno dawał Pan wyraz swojemu niezadowoleniu z polityki wobec więziennictwa, prowadzonej przez poprzedniego ministra. Zarzucał Pan również, że wraz z dokonywanymi w naszym kraju przemianami nie pomyślano o ukształtowaniu nowej polityki kryminalnej, w wyniku czego m.in. następuje gwałtowny wzrost przestępczości. Czy uważa Pan, że ostatnio nastąpiły w tych dziedzinach zmiany in plus?

— Moja, niekiedy brutalna, otwartość nie miała nigdy charakteru walki „o swoje". Uważam się przede wszystkim za profesjonalistę i nie zwykłem zabierać głosu, gdy nie miałem w jakiejś sprawie racjonalnych ku temu przesłanek. Nie wnikając w całokształt mojej „niesubordynacji" wobec posunięć ministra Bentkowskiego, nadal uważam, że mimo diametralnie różnych stosunków z obecnym szefem resortu, dzięki czemu część moich postulatów doczekała się realizacji, pozostały pewne kwestie oczekujące na rozwiązanie. Dotyczą one dalszego dysponowania funduszami postpenitencjarnymi przez Ministerstwo Sprawiedliwości, a nie przez CZZK, przez co zwalniani więźniowie nie zawsze, albo w ogóle, zostają należycie wyposażeni w środki finansowe umożliwiające start życiowy na wolności; nie rozstrzygnięty jest w dalszym ciągu postulat przekazywania dochodów z prowadzonych przedsiębiorstw dla CZZK, a nie na konto resortu; nie otrzymaliśmy na powrót etatów zabranych nam przez poprzedniego ministra. Jako ciekawostkę powiem panu, że wartownicy i ochrona Ministerstwa Sprawiedliwości, to moi „klawisze". Półżartem mógłbym zapytać, jak w związku z tym czują się urzędujący w tym budynku sędziowie i prokuratorzy?... Powracając jednak do pańskiego pytania, za wręcz przełomowe uważam zainicjowanie przez ministra prof. Wiesława Chrzanowskiego właśnie nowej polityki kryminalnej. Przyniesie to bez wątpienia po pewnym czasie oczekiwane rezultaty w postaci zmniejszającej się liczby przestępstw, większej ich wykrywalności, a tym samym malejącego obciążenia zakładów karnych nowymi skazanymi.

— Dziękuję za rozmowę.

GWAŁT na... sumieniu

— Wie pani co, kiedy usłyszałem, że do komendy zgłosiła się dziewczyna, zgwałcona przed chwilą przez ośmiu (!) łobuzów, to aż się nogi pode mną ugięły — rozpoczął relację naczelnik wydziału operacyjno-rozpoznawczego. — Mam zresztą nastoletnią córkę, przez myśl przeleciało mi, co by było, gdyby... A druga myśl była, że spod ziemi tych zwyrodnialców wydobędziemy.

Zapytałem, czy pokrzywdzona jest może w szpitalu, ale nie, była na miejscu. Kiedy ją zobaczyłem, przyznam, że zdziwiłem się trochę, ponieważ siedziała spokojna, nawet uśmiechała się. Nie było śladu łez, niedawnej tragedii. Nie miało to jednak wiele do rzeczy, a poza tym nie moją jest sprawą oceniać, czy ktoś cierpi naprawdę, czy też udaje. Ktoś przecież z pozoru spokojny może przeżywać psychiczne katusze.

Ze słów dwudziestoletniej studentki wynikało, że wraz z koleżanką opuściły późną porą dyskotekę i wtedy zostały zaczepione przez ośmiu młodych mężczyzn. Tej drugiej jakoś szczęśliwie udało się uciec. Jej nie. Badanie lekarskie wykazało, że był to pierwszy kontakt seksualny w życiu dziewczyny.

Mówiła o honorze, o upokorzeniu, o sprawiedliwości. Mądra jest, nie tylko ładna — pomyślałem — nie wolno darować łobuzom. Ale z ponad dwudziestoletniego doświadczenia wiem dobrze, jak to w życiu bywa: naciski rodziny, żeby fakt ukryć, liczne wezwania do komendy, konieczność powracania do spraw, o których chciałoby się zapomnieć, strach przed zemstą, spotkanie oko w oko z przestępcą w trakcie okazania, wreszcie rozprawa sądowa — długa, przykra, znów wiele drażliwych pytań... Powiedziałem jej o tym wszystkim absolutnie nie po to, by odwieść od zadeklarowanej decyzji, ale żeby uświadomić konsekwencje wniosku.

Nie wycofała się.

Ruszyliśmy ostro z robotą. Zaczęliśmy od próby ustalenia chłopaka o niezwykle charakterystycznych cechach rysopisu. Udało się, choć nie było łatwe szukanie igły w stogu siana. Od niego wyszliśmy na pozostałych. Nic, tylko sobie pogratulować.

I wtedy ponownie zjawiła się ona. Prosząc, żeby wolno jej było wycofać się z całej sprawy. Zdenerwowałem się. No, jak to, mówię: przecież jest pani dorosłą i poważną osobą, rozmawialiśmy na ten temat dość długo. Kiedy machina wykrywcza pójdzie w ruch, nie wkłada się ręki w tryby, żeby ją zatrzymać. Chce pani im wspaniałomyślnie darować? A ona na to, że to i tak niczego nie zmieni.

Robimy okazanie. Dziewczyna stwierdza kategorycznie, że nie rozpoznaje nikogo jako sprawcy zgwałcenia. A mamy całą ósemkę na widelcu. Ona kłamie, a my doskonale o tym wiemy...

W jakiś czas później dotarła do mnie wieść, ponad wszelką wątpliwość prawdziwa, że sprawcy zrobili zrzutkę, dotarli do pokrzywdzonej (bez kłopotu, jako że w skradzionej przez nich torebce znajdował się m.in. dowód osobisty) i wręczyli kwotę 60 milionów w zamian za milczenie. Dobili targu. Dla niej sprawa jest zamknięta — w miarę upływu czasu emocje będą opadać coraz bardziej. My zaangażowaliśmy się mocno w tę poważną sprawę, włożyliśmy dużo wysiłku, który został zaprzepaszczony, a proszę zrozumieć, że to ludzi zniechęca. Pozostaje jeszcze problem sprawców. Utwierdzonych w swym poczuciu bezkarności i przekonaniu, że wszystko da się kupić, pozostaje tylko pytanie — za ile. Ośmiu nie pracujących, żyjących z dnia na dzień, niektórzy już z kontem obciążonym wyrokami. Mają od dwudziestu do trzydziestu lat. Mają powody, by sobie szydzić ze sprawiedliwości.

Staram się zrozumieć tę dziewczynę, jej obawy, bo przecież mogli ją zastraszyć tym co grozi, gdy nie zgodzi się na proponowany układ. Wiem, że ewentualnie poza nakazem moralnym nie ma ona żadnego obowiązku doprowadzić do wymierzenia kary sprawcom ohydnego czynu, wiem, że nie musi liczyć się z dalszymi konsekwencjami w postaci prawdopodobnego jeszcze większego rozzuchwalenia łobuzów. Ale ja po prostu muszę nad tym wszystkim się zastanawiać i dlatego trudno mi o optymizm...

Wysłuchała JOLANTA ŚLIFIERZ

ZBRODNIA LICEALISTKI

Podkomisarz Jacek Mazur wkręca w maszynę kolejną kartkę protokołu przesłuchania podejrzanego. Naprzeciw niego ładna, modnie ubrana dziewczyna składnie, logicznie odpowiada na zadawane pytania. W końcu miano licealistki zobowiązuje — w maju składałaby egzamin dojrzałości. Marlenę cechuje poważny stosunek do życia; pragnie samodzielnie zarabiać na siebie. Aby nie tracić czasu po maturze, uczęszcza na kurs kosmetyczny. Bardzo dba o własny wygląd.

Teraz wbija jasny wzrok w zajętego klawiaturą oficera. On zaś spoglądając chwilami w jej szczerą, sympatyczną twarz nie potrafi zrozumieć powodów, dla których ta młodziutka kobieta popełniła zbrodnię.

W poniedziałek, 18 lutego br. spod szczotki dozorczyni przepychającej zsyp na śmieci w „Superjednostce" — największym katowickim gmachu, wypadło ludzkie podudzie. Ekipie operacyjno-śledczej złożonej z funkcjonariuszy KRP i KWP przyszło rozgryzać nie lada zagadkę. Wszystko wskazywało na to, iż dramat zakończony rozkawałkowaniem zwłok, rozegrał się w którymś z 720 mieszkań budynku, gdyż wejść do trzech klatek schodowych strzegą non stop wynajęci detektywi, notując w specjalnych zeszytach nazwiska wszystkich obcych, przekraczających progi „Superjednostki". Z pewnością zauważyliby kogoś z podejrzanie wyglądającym pakunkiem.

W zatkanym zsypie, spenetrowanym przez strażaków, nie natrafiono na inne fragmenty zwłok. Dwa pozostałe zsypy okazały się puste. Ekipy MPO zdążyły wywieźć śmieci na wysypiska.

Cztery dni później na śmietniku komunalnym w Tychach, mężczyzna poszukujący złomu dostrzegł tekturowe pudło, a w nim... zapakowane w foliowe torebki paczki. Nagle zdrętwiał ze zgrozy, w jednej była ludzka stopa...

Dzięki zeznaniom zaszokowanego mężczyzny policja ustaliła, iż pudło dostarczyła na wysypisko śmieciarka przystosowana do wożenia kontenerów. Kierowca oświadczył, że kontener pochodził z osiedla „U" w Tychach.

Nazajutrz w Zakładzie Medycyny Sądowej Śląskiej Akademii Medycznej specjalista anatomopatolog zbadał zawartość foliowych toreb. Znajdowały się w nich przedramiona bez dłoni, ramiona oraz dwie stopy. Jedna ze stóp pasowała do znalezionego w zsypie podudzia. Lekarz orzekł, iż są to części ciała tej samej osoby — kobiety w wieku około 40—45 lat, mierzącej 160—165 centymetrów wzrostu, o masywnej budowie klatki piersiowej i krępej budowie ciała. Przyczyna śmierci była niemożliwa do ustalenia.

Policjanci zabrali się za wertowanie kartotek osób zaginionych. Ich rysopisy porównywano z hipotetycznym wyglądem nie zidentyfikowanej denatki. I wtedy dopomógł im przypadek. Otóż do tyskiej komendy policji przyszła Marlena M. składając doniesienie o nagłym zniknięciu matki, Jolanty. „Zabrała dokumenty, trochę ciuchów i po prostu odeszła" — twierdziła córka. „Nie mówiłam o tym nikomu, by nie ośmieszać rodziny".

Wygląd zaginionej Jolanty M. w ogólnym zarysie pokrywał się z odtworzonym wyglądem prawdopodobnie zamordowanej kobiety. Funkcjonariusze zwrócili dodatkowo uwagę na ważny szczegół. Jolanta M. mieszkała przy ulicy Zawadzkiego, a właśnie na placyku przy zbiegu ulic: Zawadzkiego, Sikorskiego i Bielskiej stał kontener MPO, do którego podrzucono makabryczny pakunek.

Wkrótce Marlena ujawniła niektóre okoliczności zniknięcia matki. Opowiedziała, iż 12 lutego zadzwonił do drzwi mężczyzna o imieniu Władek. Matka piła z nim wódkę. Ona ze zdenerwowania zażyła tabletki uspokajające. Gdy się obudziła, w mieszkaniu nie było już nikogo.

Pokuszono się oczywiście o sporządzenie portretu pamięciowego tajemniczego „pana Władka". Przedsięwzięcie okazało się niewykonalne, ponieważ dziewczyna podawała wciąż inne jego opisy.

* —

Małżeństwo Jolanty i Zbigniewa M. nie należało do najszczęśliwszych. Małżonkowie zbyt różnili się usposobieniem. Dla niej, typowej domatorki, liczyła się tylko praca i rodzina. On natomiast doceniał urok wesołej zabawy w gronie dobranych przyjaciół, bywania w kinach, kawiarniach, na dancingach. Z tego powodu wybuchały między nimi nieustanne kłótnie; przy okazji cierpiały córki: Marlena i młodsza o rok Monika.

Pewnego razu, gdy ojciec bawił rzekomo w delegacji służbowej, Marlena spotkała go na ulicy pod rękę z obcą kobietą. Ubłagał ją, by nie zdradzała matce, iż ma kochankę. Usłuchała, ale Jolanta M. i tak wietrzyła zdradę. Niechęć do męża przelewała także na córki. Stawała się coraz bardziej gderliwa, swarliwa i wulgarna w obejściu. Stosunki w rodzinie popsuły się nieodwracalnie.

W grudniu 1990 roku Monika przeniosła się do chłopaka. Tuż po Nowym Roku Zbigniew M. wyjechał

PIRACTWO SATELITARNE

Jedną z mądrzejszych rzeczy, jaką udało się wymyśleć ekipie z „Przerwanej dekady", tj. gierkowskiej, było wylansowanie hasła „Polak potrafi". Zachodni biznesmeni dębieją, gdy widzą jak Polak po zawodówce potrafi złamać bez problemów skomplikowany szyfr dekodera telewizji satelitarnej, nad którym pracowała rzesza wybitnych elektronicznych mózgów Zachodu. Zajmijmy się więc piractwem satelitarnym, dekoderowym, komputerowym i fonograficznym.

W zwalczaniu tego zwyczajnego na Zachodzie przestępstwa nasza Policja dopiero raczkuje, cóż jednak robić, jeżeli jest ono akceptowane przez władzę i dzieje się na oczach milionów ludzi. Klasycznym przykładem piractwa satelitarnego jest program „Bliżej świata" emitowany w niedzielę w programie II TVP. Jest on oparty na trzyminutowych cytatach, co ma pomniejszyć akt piractwa, a zaproszeni do studia zagraniczni korespondenci mają jak gdyby usprawiedliwiać to, co się dzieje. Idea programu to jakby reklama zagranicznych kanałów satelitarnych, co jest oczywistą bzdurą, bo nie mówi się o technice nagrań, o wysiłkach ekip stacji, lecz o tym, co ona nagrała. A na to trzeba mieć zgodę danej stacji (za duże pieniądze). W myśl ustawy o kinematografii mamy tu do czynienia z nielegalnym rozpowszechnianiem, czyli piractwem.

Do tej pory żaden z właścicieli zagranicznych kanałów satelitarnych nie wytoczył nikomu w Polsce sprawy karno-finansowej o piractwo satelitarne. Ponieważ dotychczas stroną było państwo socjalistyczne, rezygnowano z takich procesów, ale teraz przy „wejściu do Europy" sytuacja może ulec zmianie.

Rozwój telewizji satelitarnej — a zwłaszcza pojawienie się ASTRY, satelity emitującego sygnał z ponad dwukrotnie większą mocą niż poprzednio funkcjonujące stacje telekomunikacyjne — otworzył szerokie możliwości pirackiej penetracji satelitarnego eteru. Przed ASTRĄ główne centra pirackich nagrań funkcjonowały w północno-zachodnim rejonie Polski i w Szczecinie, gdzie odbiór był najlepszy. Stamtąd na całą Polskę płynęły nagrania filmów emitowanych w programach satelitarnych. Dzięki ASTRZE jest to obecnie możliwe na całym obszarze kraju. ASTRA ma w swojej ofercie trzy wyspecjalizowane kanały filmów fabularnych obejmując w ciągu miesiąca około tysiąca tytułów. Są to Film Net, Tele Club oraz RTL Veronique. Nadawane na tych kanałach filmy, wzbogacone również interesującym repertuarem z pozostałych kanałów, m.in. Sky One, RTL plus, SAT 3, i SAT oraz Pro 7 — to stała dostawa ponad granicami państwowymi interesującego materiału, który wystarczy nagrać, opracować polską wersję językową i puścić w obieg. Sprawnie działające studia video umożliwiają w rytmie tygodniowym systematyczną dostawę świeżego towaru na sobotnio-niedzielne targowiska.

Trzy kanały filmowe: Film Net, Tele Club oraz RTL Veronique są wprawdzie zakodowane, ale przecież Polak potrafi. W kilkudziesięciu warsztatach elektronicznych w kraju produkuje się dekodery. Już za 500—700 tysięcy złotych można nabyć „cudowną czarną skrzynkę" (tak się je reklamuje) do rozszyfrowania jednego kanału, a za 1,4—1,5 mln złotych — wszystkich trzech kanałów.

Na kolumnach ogłoszeń wielu pism można znaleźć reklamy dekoderów, zalecanych jako „idealny, luksusowy prezent do każdej anteny satelitarnej". W tego rodzaju ogłoszeniach reklamowych specjalizuje się łódzki magazyn „TV-SAT". W grudniowym

do Austrii. Marlena została sama z rodzicielką. Godzinami wysłuchiwała jej żalów, pretensji, opowieści o zmarnowanym życiu. Lecz zamiast współczucia czuła narastającą nienawiść.

W czwartek, 14 lutego Jolanta M. łyknąwszy nieco alkoholu poczęła znów rozrzewniać się nad sobą. Obwiniała córkę za to, iż ojciec poszedł z kochanką. Marlena uciekła do swego pokoju, zatrzasnęła drzwi i złapała się dłońmi za głowę. Zawładnęło nią pragnienie, by wreszcie wyzwolić się z tej sytuacji.

Rankiem, gdy matka szykując się do pracy, poprawiała w łazience makijaż, stanęła za nią ściskając w ręce hantlę. Celowała w głowę. Matka zachwiała się i upadła pod umywalkę. Przerażona Marlena uciekła, lecz po chwili wróciła. Pomogła rannej wstać, obmyła włosy z krwi, opatrzyła.

Jolanta M. zrezygnowała z pójścia do pracy. Dwie kobiety tkwiły pod wspólnym dachem, bojąc się siebie nawzajem. Wieczorem doszły do chwilowego pojednania. Do końca oglądały program telewizyjny.

W sobotę przed południem Marlena zrobiła zakupy. Wróciwszy zastała matkę drepczącą po mieszkaniu i mamroczącą coś pod nosem. Ponownie poczuła falę obrzydzenia. Gdy po obiedzie Jolanta M. zapadła w drzemkę, córka ujęła w dłoń ciężarek do ćwiczeń i weszła do sypialni.

— Matka leżała na wznak — wyzna później — z głową przekręconą na bok, na poduszkę. Uderzyłam w tę głowę metalową hantlą. Wyładowałam całą nagromadzoną złość. Pamiętam, po pierwszym uderzeniu matka otworzyła oczy, ale po następnych zaczęła charczeć. Miała zniekształconą twarz. Postanowiłam ulżyć jej cierpieniom. Pobiegłam do kuchni i ze stołu zabrałam nóż o ostrym zakończeniu, z czarną plastykową rączką...

Szczątków matki pozbywała się cały tydzień. Część z nich wrzuciła do pobliskiego śmietnika, głowę — do pojemnika przy placu targowym w Mikołowie. Z tułowiem poszło jej najgorzej. Gdy męczyła się na chodniku z wypchaną torbą zatrzymał się przy niej trabant. Uczynny kierowca wsadził bagaż do samochodu i podwiózł ją na przystanek autobusowy.

Miejsca, gdzie Marlena M. rozrzuciła szczątki matki są znane dzięki starannym zapiskom, jakie poczyniła w osobistym notatniku. Tam też zapisywała, co ma powiedzieć ciekawskim, w razie zagadnięcia o matkę. Siostrę uraczyła historią o panu Władku. Koleżankę matki z pracy zbyła informacją o jej nagłym wyjeździe do krewnych. W kilka dni po pierwszych odwiedzinach w komendzie zeznała, że widziała matkę wsiadającą do taksówki. Potem dodała, iż ich rozstanie poprzedziła kłótnia.

Matactwa Marleny M. skłoniły policjantów do przeszukania jej mieszkania. Zastano tam idealny porządek. Dopiero drobiazgowe oględziny doprowadziły do wykrycia mikroskopijnych drobin zaschniętej krwi za płytą meblościanki, wewnątrz składanego tapczanu, na górnej krawędzi drzwi, a nawet na abażurze wiszącej lampy. Z rozkręconych przez hydraulików rur kanalizacyjnych pobrano próbki cieczy, zawierające również śladowe ilości ludzkiej krwi.

W obliczu wielu dowodów Marlena M. przyznała się do zbrodni. Prokuratorską decyzję o aresztowaniu przyjęła ze spokojem. Nie wytrzymała już obciążenia psychicznego. Garściami łykała barbituraty. Każdego ranka wyglądała przez okno wyczekując widoku policjantów. Wyobrażała sobie, jak na oczach sąsiadów wyprowadzają ją zakutą w kajdanki. „Odetchnęłam, gdy ten koszmar się skończył" — wyznała z ulgą.

Koszmar się jednak nie skończył i zapewne nie skończy się nigdy. Ani dla sprawczyni, ani dla jej siostry czy ojca. Niezależnie od wyroku jaki zapadnie w tej wstrząsającej sprawie, zawsze już będą rozpamiętywać dlaczego wydarzyła się ona w ich rodzinie?

ADAM K. PODGÓRSKI

PS Dane personalne osób zostały zmienione.

numerze redakcja w takich słowach sprecyzowała swoje stanowisko wobec pirackich dekoderów: „Polska dotąd nie wykupiła koncesji na odbiór żadnego z programów kodowanych i jeśli ktoś chciałby być fair wobec przepisów, po dekoder powinien pojechać na Zachód (nasi dostawcy z Zachodu ich nie sprowadzają, gdyż są zbyt drogie). Dopiero wtedy, mając licencjonowany sprzęt, nie łamie się przepisów i praw autorskich".

Mimo takiego stanowiska na kolejnych kolumnach redakcja zamieściła osiem ogłoszeń reklamujących pirackie dekodery, zapewne zgodnie z zasadą: „za treść ogłoszeń nie odpowiadamy".

Lekceważenie praw osiągnęło w Polsce niespotykane rozmiary. Doszło do tego, że przestępcy bez skrupułów, bez obawy o represje publikują swoje adresy i telefony.

Podobnie w popularnym czasopiśmie „Audio-Video" (nr 4/90), redakcja, zastrzegając się, że jej celem nie jest „propagowanie piractwa TV-SAT", lecz „zapoznanie czytelników z techniką kodowania transmisji satelitarnych", zamieściła schematy oraz opis wykonania dekodera do Film Net.

Jest jeszcze rozległa dziedzina piractwa kablowego. W Polsce nigdy nie było telewizji kablowej. Dziś, w obliczu upowszechniającej się telewizji satelitarnej i rosnącego nią zainteresowania, próbuje się nadrobić w pośpiechu zaległości. W całym kraju powstają liczne społeczne komitety budowy telewizji kablowej. Najczęściej sprowadza się to do przystosowania istniejących instalacji anten zbiorczych. W każdym przypadku jest to zorganizowany odbiór zagranicznych programów, prowadzonych bez zgody ich właścicieli. Dla podniesienia atrakcyjności satelitarnego odbioru prawie powszechnie instaluje się w sieciach kablowej dystrybucji programów — również dekodery.

Dziedzina, w której Policja też dopiero raczkuje to piractwo komputerowe. Znane są przypadki, gdy polskie firmy za kilkadziesiąt tysięcy dolarów kupiły jeden program komputerowy np. kompleksowej obsługi bankowej, a potem kilka tęgich mózgów siedziało nad nim trochę czasu, aby złamać, wydawałoby się, superbezpieczny szyfr i następnie swobodnie kopiować program dla dowolnych przedsiębiorstw. Zachód jest oszukiwany w ten sposób na setki tysięcy dolarów, ale dopiero kontrola każdego komputera profesjonalnego w przedsiębiorstwach, firmach, spółkach mogłaby wykazać, ile skradziono pomysłów, czyli ile pogwałcono praw autorskich.

To, co się dzieje na polskim rynku fonograficznym, to już kpina z praw autorskich w biały dzień. Na każdym rogu ulicy, na targowiskach pojawiły się kasety magnetofonowe z najnowszymi nagraniami gwiazd estrady, najmodniejszych zespołów. Na kasetach są zdjęcia idoli, co ma dowodzić, że są to kasety zachodnie, oryginalne. Kontrolowani sprzedawcy za każdym razem pokazują zaświadczenie wydane przez związek autorów ZAIKS, że zapłacili tej organizacji 8 procent wartości każdej kasety, co jest równoznaczne, że mogą nią handlować. W ten sposób ZAIKS czerpie korzyści z piosenek między innymi Michaela Jacksona, Madonny, Depeche Mode. Ciekawe czy Tina Turner dostała coś od ZAIKSU za swoją kasetę? Michael Jackson nie rozmawia z żadną firmą fonograficzną na Zachodzie o kontrakcie poniżej 500 tysięcy dolarów. Co zrobią spece z ZAIKS-u, jeżeli ciemnoskóry zażąda od nich (i miałby ku temu pełne prawo) takiej forsy? Wchodzimy do Europy powoli. Mamy więc czas, aby uporządkować te sprawy, bo jak nie, to inni zrobią to za nas tak, że Europa wyjdzie nam bokiem.

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. K. Mokrzyszewski

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

● Belgijscy porywacze ujęci w Kolumbii

Dwóch Belgów, Marc Van Dam i Philippe Lacroix aresztowano w Barranquilla, portowym mieście na karaibskim wybrzeżu kolumbijskim. Są oni oskarżeni o współpracę z narkomafią z Medellin i zorganizowanie serii zamachów bombowych w Kolumbii. Są także podejrzani o współudział w porwaniu w 1989 roku byłego premiera Belgii Paula Vandena Boeynantsa.

Szef kolumbijskiej służby bezpieczeństwa (DAS) gen. Miguel Maza, przedstawiając obu aresztowanych na konferencji prasowej, wyjaśnił, że przedostali się oni do Kolumbii z Brazylii przez miejscowość Tabatingo, rejon wykorzystywany przez przemytników mafii kokainowej. Ścigani Belgowie przebywali w Kolumbii z podrobionymi paszportami. Aresztowano ich dzięki informacji uzyskanej od belgijskiej policji.

Marc Van Dam i Philippe Lacroix to byli członkowie bandy Patrica Haemersa, aresztowanego w Rio de Janeiro w 1989 roku pod zarzutem uprowadzenia Paula Vandena Boeynantsa. Patrick Haemers wraz z innym wspólnikiem Axelem Zeyenem został wydany Belgii w 1990 roku.

Przypomnijmy, że były premier Belgii Paul Vanden Boeynants uprowadzony został 14 stycznia 1980 roku, a miesiąc później, w zamian za okup w wysokości 63 mln franków belgijskich, uwolniony przez porywaczy.

● Dymisje na „szczycie"

Felipe Carvajal, szef boliwijskiej policji złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska w kilka dni po zamieszczeniu w amerykańskim dzienniku „Miami Herald" informacji o tym, iż przyjął on niedawno od handlarzy narkotykami łapówkę. Dziennik ten, opierając się na amerykańskich oficjalnych źródłach, to samo oskarżenie wysunął wobec boliwijskiego ministra spraw wewnętrznych Guillermo Capobianco, który tydzień później podał się do dymisji.

Kilka dni wcześniej, ze stanowiska szefa boliwijskiego biura do zwalczania narkotyków, ustąpił płk Faustino Rico, oskarżony przez Waszyngton o współpracę w przeszłości z międzynarodowymi handlarzami narkotykami. Amerykański rząd zagroził bowiem, że zawiesi część pomocy gospodarczej dla Boliwii (100 mln dolarów), jeżeli pułkownik Rico zachowa swoją posadę.

● Udana operacja

Ponad pięćdziesiąt osób aresztowano w gigantycznej operacji policyjnej, przeprowadzonej w kilku departamentach południowej i południowo-zachodniej Francji. Operacja skierowana była przeciwko rozpracowywanej od ponad roku szajce przemytników oraz handlarzy bronią i amunicją. Broń ta pochodziła z Afryki i Bliskiego Wschodu, a szczególnie z Libanu. Wśród aresztowanych znajduje się major francuskiej wojskowej służby zdrowia, były podoficer oddziałów spadochronowych oraz pewien policjant z CRS (Republikańskich Kompanii Bezpieczeństwa).

Wstępnie ustalono, że przemycana broń była nabywana przez gangsterów i wykorzystywana do napadów rabunkowych na opancerzone furgony pocztowo-bankowe w Marsylii i innych miastach południowej Francji, np. w czasie napadu na pociąg pocztowy w pobliżu Nimes 13 lipca 1990 roku.

W toku operacji likwidacyjnej skonfiskowano 136 sztuk broni palnej, dużą ilość amunicji, a także kilka ręcznych wyrzutni rakiet.

oprac. MARIAN OWCZAREK
zdj. AFP

LOSY POLSKICH JEŃCÓW

Dokumenty te odnalazła dr historii Walentina Parsadanowa w archiwach byłego Zarządu Wojsk Konwojowych NKWD oraz Zarządu ds. Jeńców Wojennych i Osób Internowanych.

Wynika z nich, że po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemie polskie we wrześniu 1939 r. do obozów trafiło 130 242 oficerów i żołnierzy WP. Początkowo umieszczono ich w 150 punktach zbornych, potem powstało 7 obozów sortowniczych: starobielski, putywlski, orański, ostaszkowski, kozielski, juchnowski i kozielszczański.

Na polecenie Ławrientija Berii z 3 października 1939 r. uwolniono do domów wszystkich żołnierzy pochodzących z terenów zajętych przez Armię Czerwoną. Oficerów, policjantów i wyższych urzędników, a także dozorców więziennych na podstawie rozkazu Berii z 19 listopada 1939 r. umieszczono w obozach w Starobielsku, Ostaszkowie i Kozielsku. Mimo iż we wszystkich rozkazach była mowa o łagodnym stosunku do internowanych, w obozie ostaszkowskim zaprowadzono surowy reżim.

W związku z porozumieniem z III Rzeszą repatriowano z ZSRR na tereny polskie okupowane przez hitlerowców 42 492 osoby. Władze niemieckie przekazały z kolei do ZSRR mniej więcej równą liczbę wziętych do niewoli wojskowych polskich z terenów zabużańskich.

Z dokumentów wynika, że administracje obozowe (podporządkowane Zarządowi NKWD ds. Jeńców Wojennych i Osób Internowanych) proponowały Berii wypuszczenie do domów oficerów rezerwy i studentów oraz policjantów-rezerwistów zmobilizowanych w okresie wojny. Jednocześnie w obozach pracowali już sędziowie śledczy i porządkowano ewidencję więźniów.

31 grudnia 1939 r. do obozów oficerskich oraz do Ostaszkowa skierowano wyższych urzędników NKWD. Szef Zarządu NKWD ds. Jeńców Wojennych i Osób Internowanych kpt. Soprunienko miał tak zorganizować pracę, aby już w styczniu 1940 r. zakończyć dochodzenia w sprawie wszystkich jeńców-policjantów i wytypować osoby mogące stanowić przedmiot zainteresowania operacyjnego.

Po wizytacjach obozów w Ostaszkowie, Kozielsku i Starobielsku kierownictwo tego zarządu sporządziło meldunek, w którym zaproponowało uwolnienie osób powyżej 60 lat, chorych i inwalidów, agronomów, lekarzy, inżynierów itp. Sprawy około 400 osób proponowano przekazać do rozpatrzenia Naradzie Specjalnej (Osoboje Sowieszczanije — sąd administracyjny wydający wyroki karne) przy NKWD. Dotyczyło to kadry Korpusu Ochrony Pogranicza, sędziów, prokuratorów, obszarników, byłych działaczy POW i „Strzelca", oficerów wywiadu.

Na meldunku tym znajduje się odręczny zapis Ławrientija Berii do pierwszego zastępcy: „Tow. Mierkułow, porozmawiajcie ze mną". W wyniku tej rozmowy zastępca komisarza ludowego spraw wewnętrznych nakazał Soprunience przerwać całkowicie łączność obozów ze światem, pozbawić jeńców możliwości korespondencji, otrzymywania paczek itp.

W tym samym okresie organa NKWD sporządziły obszerne wykazy danych o odbywaniu służby przez oficerów polskich, ich miejscach zamieszkania, stopniach, stanowiskach itd., itp.

Po co i komu potrzebne były te dane? Walentina Parsadanowa stawia 2 hipotezy:

Potrzebne były w związku z toczącymi się wówczas rozmowami w sprawie dalszej repatriacji i wymiany ludności z Niemcami. Podobno późniejszy premier rządu londyńskiego Stanisław Mikołajczyk uważał, że hitlerowcy nie chcieli przejąć oficerów WP z ZSRR i to zdecydowało o ich losach.

Wersja druga opiera się na wiadomościach, że w marcu 1940 roku „na górze" ważyły się losy polskich obozów. Być może po to potrzebne były tak dokładne dane ewidencyjne. Radziecka uczona zastanawia się jednak, po co zadano sobie tyle trudu, skoro osoboje sowieszczanije nie przejmowało się zbytnio dokumentacją wydając wyroki śmierci? Na pytanie, po co i komu potrzebne były te skrupulatnie sporządzone wykazy o każdym oficerze lub policjancie, nie zna — jak dotąd — jasnych odpowiedzi.

W marcu 1940 r. rozstrzygnięto jednak losy obozów dla szeregowców. Utracili oni status jeńców wojennych i — jako obywateli radzieckich — skierowano ich do obozów pracy na zachód i na północ, na budowę obiektów wojskowych, fortyfikacji oraz lotnisk.

Niebawem zaczęto likwidować również obozy oficerskie. Pierwszy transport z Kozielska wyjechał 3 kwietnia 1940 r., ze Starobielska — 5 kwietnia. W jednym z późniejszych (1941 r.) dokumentów szef odpowiedniego zarządu NKWD i komendant obozu w Kozielsku zaświadczali, że 2 maja 1940 r. w obozie nie było żadnych jeńców wojennych.

Internowanych nie powiadomiono, dokąd są wywożeni. Chociaż były wyjątki. Komisarz obozu kozielskiego Fiodorow wymienił adres oficerom siedzącym już w „stołypinkach" (więzienne wagony kolejowe). Na ich ścianach pozostały wydrapane zapisy. Fiodorow drogo zapłacił za swój czyn.

Oficerowie z Kozielska jechali do Katynia. Ci ze Starobielska zginęli pod Charkowem. Policjanci z obozu w Ostaszkowie spoczęli w Miednoje pod Kalininem (obecnie Twer)...

oprac. MARCEL TABOR

Zdjęcia pochodzą z wystawy w Muzeum Wojska Polskiego otwartej z okazji 51 rocznicy zbrodni katyńskiej.

zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

Śladem naszych artykułów

CIĄGLE BIAŁE PLAMY

Chcę nawiązać do artykułu Hanny Świeszczakowskiej „Białe plamy" opublikowanego w tygodniku „W służbie narodu" nr 35 z 28 sierpnia 1988 r., który dał nam tyle nadziei oraz do „Magazynu Kryminalnego 997" nr 8 z 21 kwietnia br., gdzie zamieszczono artykuł Jeleny Żurawliowej z ZSRR rozszerzający temat „katyński".

W artykułach tych otrzymujemy informacje o tragedii i miejscach masowych mordów oficerów polskich, o reakcji tamtego społeczeństwa dawniej i dziś. Każda informacja jest dla nas cenna, każde odkryte miejsce kaźni jest bardzo ważne, każdy świadek martyrologii jest pożądany.

Jesteśmy wdzięczni tym wszystkim ludziom dobrej woli, którzy rozumieją ból i wraz z nami odtwarzają prawdziwą historię. My często jesteśmy zagubieni, nie zagojone blizny zostały w naszych sercach. A tymczasem sprawa Katynia nadal się ciągnie i winni znanego całemu światu ludobójstwa nie zostali wciąż ukarani.

Załączam zdjęcia, na których występuje mój ojciec kpt. inż. Włodzimierz Woyciechowski. Na pierwszym — w gronie oficerów po zakończeniu kursu w Modlinie w 1935 roku, na drugim z żoną Anielą (rok 1937) oraz fotokopie listów ojca z obozu w Starobielsku. „Jeśli nie macie czasem listu ode mnie — pisał 23 marca 1940 r. — nie martwcie się, bo nie wszystkie dochodzą ze względu na odległość, i bądźcie dobrej myśli i nadziei."

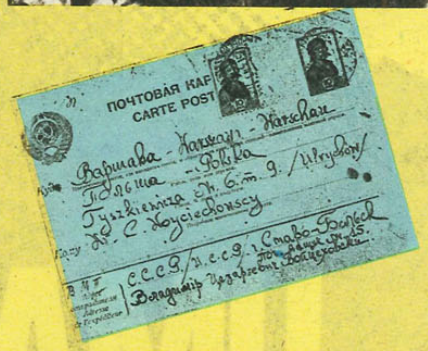

Zdjęcie ojca z matką było zgłoszone do Biura Poszukiwań PCK w Warszawie w 1941 roku i zostało przechwycone przez Gestapo. Nazwiska wielu oficerów ze zdjęcia zbiorowego znalazły się na listach więzionych i pomordowanych w łagrach radzieckich.

Andrzej Woyciechowski
z „Rodziny Katyńskiej"
(Milanówek k. Warszawy)

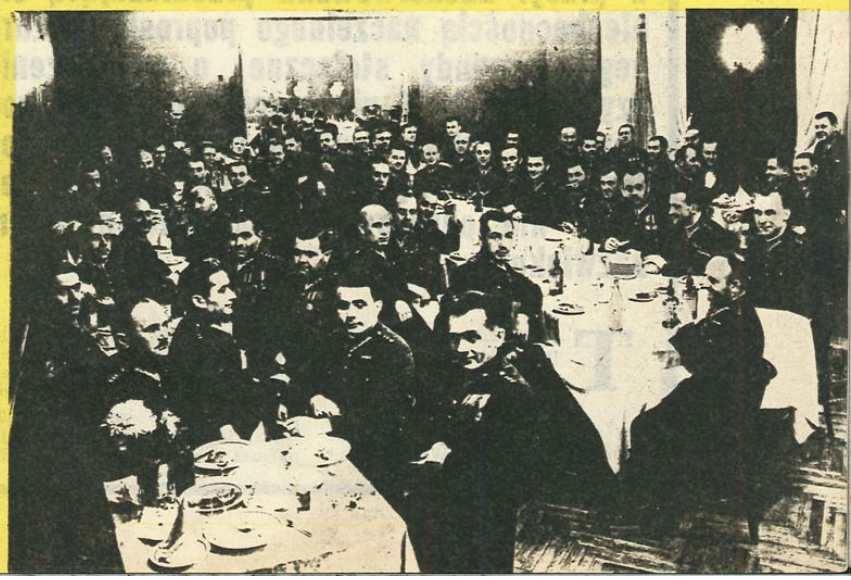

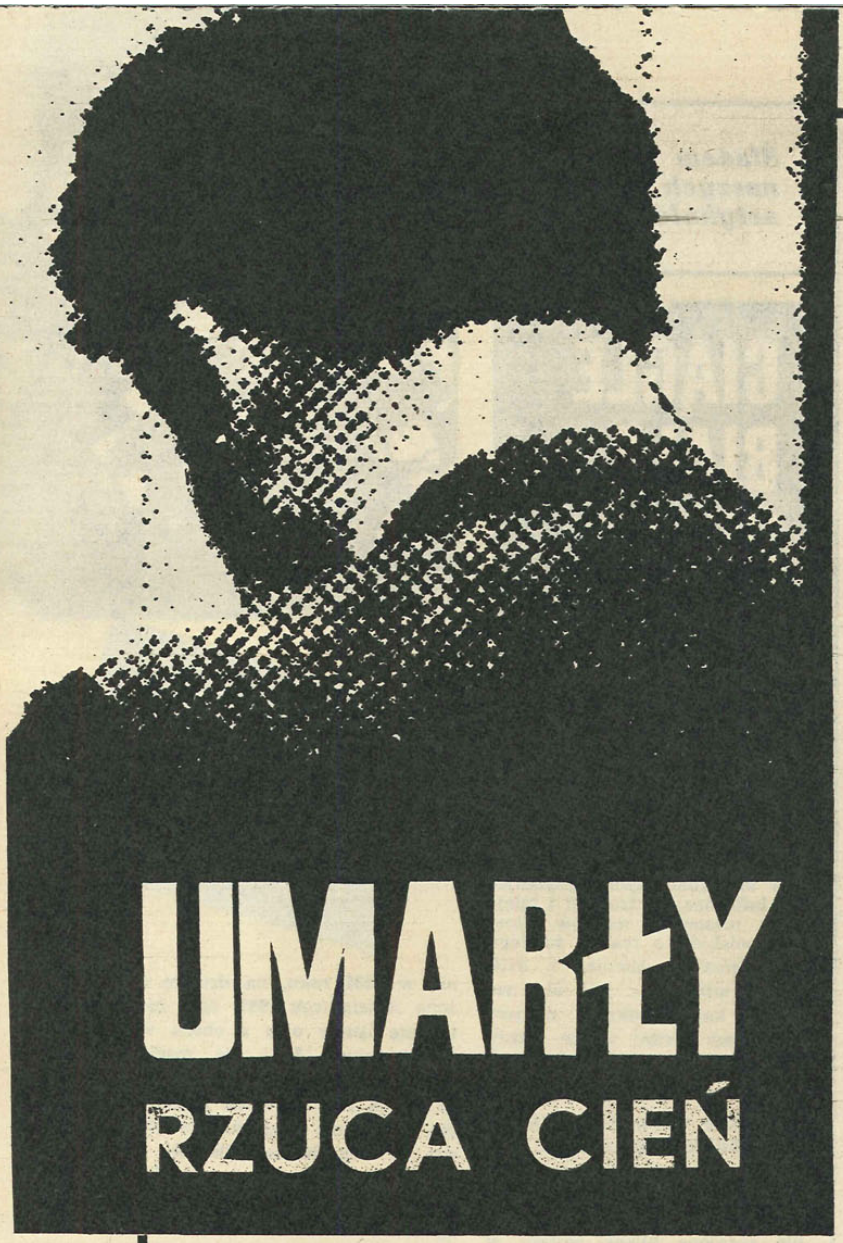

UMARŁY RZUCA CIEŃ

Sekretarka redakcji „Forum" od kilku dobrych chwil wykazywała zaniepokojenie tą niecodzienną, ba, niespotykaną od lat, sytuacją. Redaktor naczelny, choć było już dawno po piętnastej, nie pojawił się w pracy. Zdenerwowana przedłużającą się nieobecnością naczelnego poprosiła dyżurnego komendy stołecznej o sprawdzenie czy Jan Gerhard nie uległ wypadkowi drogowemu. Pytała o niego również w pogotowiu ratunkowym, szpitalach, nigdzie jednak nie odnotowano pacjenta o takim nazwisku.

Tuż przed dziewiętnastą ponownie zadzwoniła do stanowiska kierowania służbami patrolowymi w Warszawie i podzieliła się z dyżurującym oficerem złymi przeczuciami. Wkrótce pod wskazany przez nią adres podjechał radiowóz.

Sierżant Wincenty Wisłocki nacisnął dzwonek, kilkakrotnie pukał w drzwi oznaczone „17". Naraz te otworzyły się, funkcjonariusz zajrzał do środka. To, co ujrzał przedstawił w notatce służbowej, która wkrótce stała się pierwszym pismem w śledztwie o zabójstwo Jana Gerharda.

Pitaval współczesny

JERZY KIRZYŃSKI

MARCEL TABOR

1

Przybyły na miejsce zdarzenia lekarz pogotowia stwierdził, że denat leżał w przedpokoju, między drzwiami prowadzącymi do łazienki a wejściem do pokoju na brzuchu w kałuży skrzepniętej krwi. Miał wbity w plecy nóż, na szyi zadzierzgnięty skórzany pasek od spodni. Pod krwawiącą głową miał podłożoną gazetę.

Przyjęto, co następnie zostało udowodnione w czasie sekcji zwłok, że zgon nastąpił w godzinach przedpołudniowych (wskazówki rozgniecionego zegarka marki Doxa zatrzymały się na godz. 11.13). Przyczyną były rozległe rany tłuczone głowy, stłuczenie mózgu, wieloodłamkowe złamanie kości czaszki, liczne obrażenia i wylewy krwawe w tkance podskórnej głowy, cztery rany kłute w okolicy międzyłopatkowej połączone z uszkodzeniem płuc, żeber i wyrostków poprzecznych. Z górnej rany wyjęto sztylet o długości ostrza 15 cm, który tkwił w zwłokach na głębokości 13 cm.

Trwały żmudne oględziny. Gerhard, jak ustalono, był człowiekiem wyjątkowo przezornym i ostrożnym. Mówili o tym sąsiedzi, żona, która zaraz po przeczytaniu komunikatu o tragedii jaka miała miejsce w ich mieszkaniu przy ul. J. Matejki, przerwała urlop i wróciła do stolicy.

„Po usłyszeniu dzwonka mąż sprawdzał przez wizjer, kto dzwoni i dopiero po rozpoznaniu osoby otwierał drzwi. Nigdy nie otwierał na noc ani okna, ani drzwi balkonowych. Wieczorem przed położeniem się spać, ponieważ wszyscy byliśmy bardzo ostrożni (...) z reguły sprawdzaliśmy zamknięcia drzwi wejściowych". Zeznała także: „Jedną z cech charakterystycznych mojego męża i rodziny w ogóle była dokładność, systematyczność i punktualność".

Gerhard nie tylko we własnym mieszkaniu stosował różne środki bezpieczeństwa. Wiadomo było, że nosił ze sobą broń. W pracy trzymał ją w uchylonej szufladzie biurka, co miało umożliwić jej natychmiastowe użycie. Podlegli pracownicy otrzymali polecenie, by zwracać szczególną uwagę na obcych. Podejrzenia jego wzmogły się zwłaszcza po nadejściu anonimu, z treścią: „Sam wyznaczysz datę i godzinę swojej śmierci". Znaleziony w mieszkaniu testament świadczył o tym, że Gerhard liczył się z możliwością gwałtownego zgonu.

A jednak wpuścił dobrowolnie swego oprawcę. Na drzwiach wejściowych nie stwierdzono bowiem żadnych uszkodzeń ani zabrudzeń. W przedpokoju na drzwiach (do wysokości 70 cm i szerokości 65 cm), na ścianach (na jednej z nich rozbryzgi sięgały do 1,5 m) i znajdujących się tu przedmiotach ujawniono rozległe, o różnych kształtach plamy brunatnoczerwone w postaci zaschniętych punkcików, biegnących z góry ku dołowi. Nieliczne plamki znajdowały się także na żyrandolu oraz na suficie. Świadczyło to o tym, że ofiara została zaatakowana zaraz po wpuszczeniu napastnika do środka. Gerhard nie spodziewał się ataku i nie był przygotowany do jego odparcia. Wnioski wynikające z oględzin przemawiały za tym, że nie przypuszczał, iż ze strony osoby, której otworzył drzwi spotkać go może coś złego. Napastnik działał jednak z dużą siłą, brutalnością i bezwzględnością.

Ślady krwi były wszędzie, na podłodze, na listwach pod ścianami, na ubraniach wiszących w korytarzu. Na jednej z klepek znaleziono wyraźny ślad obuwia. Sprawca pozostawił potwierane regały, wyciągnięte szuflady biurka, porozrzucane papiery. Czego szukał?

W kieszeni spodni denata, jak i na półce znajdowały się pieniądze. Na widocznym miejscu leżał także pistolet wraz z amunicją. Dlaczego zabójca nie połakomił się na nie? Wątpliwości te podważały wprawdzie rabunkowy motyw zbrodni jednak nie na tyle, aby wersję tę od samego początku można było wyeliminować.

Nie ulega wątpliwości, że na przyjęcie kolejnych wersji miał wpływ skomplikowany życiorys J. Gerharda. Urodził się w 1921 r. we Lwowie. We wrześniu 1939 r. przedostał się do Francji, stał się żołnierzem armii dowodzonej przez gen. Władysława Sikorskiego. Rok później w czasie walk z Niemcami dostał się do niewoli. Lekarz „rozpoznał" u niego chorobę płuc, co było równoznaczne ze zwolnieniem z obozu. Pojawił się w południowej Francji. Rozpoczął studia uniwersyteckie, wstępując do Francuskiej Partii Komunistycznej. Podjął działalność konspiracyjną, która różnie była oceniana przez jego przełożonych, jak i podwładnych. Zainteresowanych tym okresem życia J. Gerharda odsyłamy do lektury jego książki „Wojna i ja" oraz „Autopamfletu".

W listopadzie 1945 r. powrócił do Polski. Rok później, zaledwie 26-letni oficer, kierował już działaniami 34 Budziszyńskiego Pułku Piechoty przeciwko oddziałom UPA. Był świadkiem śmierci gen. Karola Świerczewskiego. Doznania te przedstawił w książce „Łuny w Bieszczadach". W listopadzie następnego

roku po odwołaniu z zajmowanego stanowiska rozpoczął studia w Akademii Sztabu Generalnego. Kontynuował je w Moskwie. Po ich ukończeniu objął wysokie stanowisko w Warszawskim Okręgu Wojskowym. W 1951 r. przed jego nazwiskiem pojawił się stopień „pułkownik".

29 września 1952 r. prokurator wojskowy zarzucił mu działalność szpiegowską na rzecz wywiadu francuskiego. Przyznał się do tego, pomówił innych. W oświadczeniu z 17 czerwca 1954 r. wysłanym do naczelnego prokuratora wojskowego odwołał dotychczasowe wyjaśnienia, pisząc m.in.: „Takie są moje błędy w tej sprawie. Jeżeli miałbym je wyrazić liczbami, to uważam, że w naplątaniu bzdury jest 70 procent mojej winy, a 30 procent winy organów śledczych na skutek ich procedury. Organa śledcze pytały o prawdę, domagały się prawdy, zaklinały i surowo nakazywały, aby mówić tylko prawdę i powtarzały te żądania po kilka razy na każdym przesłuchaniu (...)". 2 grudnia 1954 r. śledztwo przeciwko niemu z powodu braku dowodów winy zostało umorzone.

Nie skorzystał z propozycji powrotu do czynnej służby w wojsku. Znalazł się w Polskiej Agencji Prasowej, od kwietnia 1965 r. do chwili śmierci był organizatorem i redaktorem naczelnym „Forum". W okręgu bieszczadzkim wybrano Gerharda na posła.

Komu zatem zależało na usunięciu spośród żywych człowieka o tak poplątanym życiorysie? Siła jakiej zemsty, jeśli nie ramienia, kazała mordercy walić łomem czy młotem w głowę bezbronnej ofiary?

Przesłuchano setki osób mogących dostarczyć choćby najdrobniejszy szczegół. Ciekawymi spostrzeżeniami podzielili się z prowadzącymi śledztwo lokatorzy bloku, w którym mieszkał wraz z żoną i dorosłą córką. Ryszard Rz. zajmujący lokal pod mieszkaniem Gerharda słyszał tego dnia odgłosy uderzeń o podłogę oraz jęki. Dochodziła według jego zeznań godzina 8.45. Antonina Ł. nieco później, bo o godz. 9.30 tego dnia, widziała leżące na wycieraczce przed mieszkaniem Gerhardów okulary oraz coś, co przypominało swoim wyglądem portmonetkę bądź notes.

Przedmiotów tych dokonujący oględzin już nie zauważyli. Osoby, które jako pierwsze znalazły się na miejscu zbrodni także nie widziały, kto je podniósł?

Nowe światło na dotychczasowe ustalenia, jak i kierunki śledztwa rzuciły kolejne zeznania żony zamordowanego, która stwierdziła w czasie porządkowania mieszkania „brak kilku sztuk biżuterii. Dotyczyło to bransolety z metalu w kolorze złotym, pierścionka z takiego samego metalu z dużym owalnym, zielonym oczkiem, pierścionka złotego z kilkoma małymi diamentami, pierścionka z białego metalu z niebieskim, przezroczystym, owalnym oczkiem".

Wkrótce też natrafiono na jakże ważny ślad. Otóż jeden ze świadków poinformował, że J. Gerhard sposobiąc się do wyjazdu na urlop do Bułgarii, 19 sierpnia wykupił w banku czeki podróżnicze i walutę bułgarską. W mieszkaniu nie natrafiono ani na czeki, ani też na lewa. Czyżby również zostały skradzione?

Nigdzie nie było kluczyków od samochodu użytkowanego przez J. Gerharda do celów służbowych. Ponadto w miejscu, w którym zawsze parkował fiata, obecnie widniała ciemna plama zapewne po wyciekającym oleju.

Służby patrolowe, dzielnicowi otrzymali konkretne zadanie, odszukać skradzione auto. 20 sierpnia około godz. 21.00 dwaj funkcjonariusze znajdujący się na ul. Świętokrzyskiej natknęli się na poszukiwany samochód. Miejsce to poddano dyskretnej obserwacji, nikt nie podchodził do auta. Po północy przetransportowano je do komendy stołecznej celem przeprowadzenia oględzin.

Wcześniej, 20 sierpnia 1971 r., w telewizji podano komunikat, że we własnym mieszkaniu został zamordowany znany pisarz i publicysta, poseł na Sejm, Jan Gerhard, redaktor naczelny „Forum". Następnego dnia informację te przekazały gazety. Ze zrozumiałych względów zbrodnia poruszyła opinię publiczną.

„Wieść rozniosła się szybko i szeroko — takie wieści mają to do siebie — pisała Barbara Seidler w książce „Skłóceni z prawem". — Miasto zahuczało od plotek. Mord był bestialski. Pierwsze wiadomości z oględzin miejsca przestępstwa zaczęły przenikać do kawiarń — takich rzeczy nie można utrzymać w tajemnicy. Gerhard był postacią znaną. Prowadził życie niewiarygodnie aktywne, przypominano sobie różne fragmenty jego życiorysu, rozmowy z nim, drobne zdarzenia, jakie zapisały się w ludzkiej pamięci. Snuto domysły, przypuszczenia. Najrozmaitsze".

Najczęściej podawano motyw polityczny. Powołano celem wyjaśnienia okoliczności, motywów oraz sprawców zabójstwa grupę operacyjno-śledczą pod kryptonimem „Bieszczady". Poszukując rzeczywistych powodów zamachu na życie Gerharda przyjęto m. in. następujące wersje: „Świnoujście", „Francuska", „Ukraińska". Powstało ich kilkaset, odnosiły się do konkretnych osób i problemów. Nie rezygnowano z wyjaśniania jakiejkolwiek informacji, skrupulatnie i systematycznie gromadzono interesujący materiał dowodowy.

Jednakże poczynione ustalenia nie pozwoliły wykryć sprawcy ani ukierunkować działań.

cdn.

Psychotronika w pracy Policji (I)

NIEKONWENCJONALNE METODY DZIAŁANIA

Wizja psychotronicznej przyszłości nie może być nie dostrzegana zwłaszcza przez Policję, której ta nowa dyscyplina wiedzy może oddać nieocenione usługi. Dotyczy to wszystkich służb policyjnych, ich pracy rozpoznawczej, dochodzeniowej i profilaktycznej. Umiejętność czytania myśli podejrzanego i świadków, psychotronicznego wykrywania śladów, ale także planów, zamiarów i motywów w umyśle przestępcy, telepatycznego rozpoznawania melin i środowisk przestępczych czy telekinetycznego paraliżowania ich działań bezprawnych stwarzają obiecującą szansę i perspektywę dla policjanta, który będzie miał do swojej dyspozycji odpowiednie urządzenia psychotroniczne. Staje się to dla policjanta koniecznością, w obliczu zagrażającej nam w przyszłości przestępczości psychotronicznej, wyjątkowo niebezpiecznej i wielopłaszczyznowej, a przy tym bardzo trudnej do wykrycia za pomocą dotychczasowych środków i metod kryminalistycznych.

Czym zatem jest i czym zajmie się „psychotronika"? Według L. E. Stefańskiego i M. Komara (książka pt. „Od magii do psychotroniki") zajmuje się ona siłami działającymi na odległość, jak również interakcjami zachodzącymi między ludźmi oraz między człowiekiem i otaczającym go światem organicznym i nieorganicznym. Interakcje te wiążą się jednak z energetycznymi formami wyżej zorganizowanej żywej materii. Psychotronika bada bowiem zjawiska występujące w utajonej postaci w każdej żywej jednostce, jej funkcje psychiczne i fizykalne w ich naturalnym wzajemnym powiązaniu. Ponadto w zakres jej zainteresowań wchodzi energetyczna istota zjawisk tradycyjnie znanych pod pojęciami „telepatii" (przenoszenie energii i informacji: pojęć, obrazów, dźwięków, uczuć itp. z mózgu jednego człowieka do mózgu drugiego człowieka bez pośrednictwa znanych zmysłów, jak: wzrok, słuch, węch i inne), „psychokinezy" (zdolność paranormalnego oddziaływania człowieka na materię, zdalne wprawianie przedmiotu w ruch zwane „telekinezą"), „prekognicji" albo „jasnowidzenia" czy „wizjonerstwa" (zdolność przeczuwania lub przewidywania przyszłych wydarzeń, które trudno ustalić na podstawie dostępnych informacji), „sugestii", „hipnozy", „narkoanalizy", „radiestezji" („różdżkarstwa"), „igłolecznictwa" czy „akupunktury", „zjawiska dermooptycznego" itp.

Policja (ale i wojsko) coraz częściej korzystają z usług wizjonerów. W 1977 r. przeprowadzono niezwykłe doświadczenie w Międzynarodowym Instytucie Badawczym w Heale Park w Kalifornii z dwoma czołowymi mediami. Miały one bardzo dokładnie opisać odległe miejscowości i obiekty tylko na podstawie geograficznych współrzędnych celu. Wyniki owego określanego przez amerykańskich naukowców zdalnego postrzegania przyniosły zdumiewające rezultaty. Udali się oni do dowolnej miejscowości opisanej przez media niezwykle trafnie i dokładnie. Należy tu dodać, że wojskowi eksperci amerykańscy i radzieccy opracowują prognozy m.in. odnośnie telepatycznego: poznawania tajnych dokumentów i planów poprzez mentalne „podłączenie się" do wojskowych i polityków wysokiej rangi, rozszyfrowania kodów przeciwnika i lokalizowania wyrzutni rakietowych, magazynów broni atomowej, przechowywania tajnych informacji, punktów dowodzenia i manipulacji nimi, blokowania systemów broni, kontroli i zakłócania komunikacji językowej, dezintegracji i dezorganizacji sił wroga. Są to badania zaawansowane, przynoszące zadziwiająco skuteczne efekty. Dlatego niedocenianie ich w pracy naszej Policji, w której mogą mieć szerokie zastosowanie, jest niewątpliwym błędem. W kryminalistyce może znaleźć zastosowanie telepatia, kiedy np. psychotronik przesyła na odległość obrazy i polecenia wykonywane posłusznie przez odbiorcę, który potrafi je odczytać.

Kolejnym istotnym problemem w pracy Policji jest rola sugestii w psychologii zeznań. Hipnotyzer może wywierać tutaj przemożny wpływ na medium, które składa wyjaśnienia wychodzące naprzeciw jego życzeniom, święcie potem wierząc w ich prawdziwość. Psychotroniczny przestępca może wcielać się w różne osobowości: mordercy, złodzieja, oszusta czy przestępcy seksualnego. Może występować nawet w kilku przeciwstawnych sobie osobowościach. Po obudzeniu z transu hipnotycznego nie może zrozumieć żadną miarą swojego zbrodniczego postępowania. Może też popełniać różne przestępstwa na odległość, wydając działającej w terenie bandzie rozkazy. Stać go na popełnienie zabójstwa bez bólu, gdzie ofiara ginie nagle nie cierpiąc.

Jakkolwiek stosowanie w praktyce psychotroniki wzbudza dyskusję i rodzi wiele kontrowersji (czego dowodzą próby wykorzystania u nas wariografu, tj. wykrywacza kłamstwa) — jest to jednakże nowy kierunek poszukiwań i obiecująca perspektywa pracy dla współczesnej Policji. Powinna ona bowiem sięgać już dzisiaj do tych zdobyczy psychotroniki. Niedocenianie i niedostrzeganie tych możliwości, ale i płynących z nich dla nas różnorodnych, często bardzo poważnych zagrożeń ze strony świata przestępczego może okazać się czymś o wiele groźniejszym w swoich skutkach niż zwykłą krótkowzrocznością.

(cdn.)

dr KLEMENS STĘPNIAK

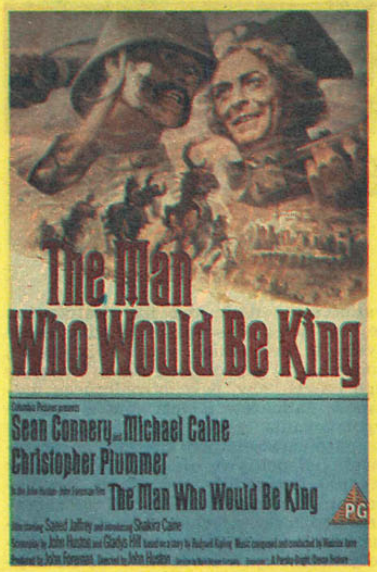

VIDEO TOP

MAC AND ME (Mac i ja) — kom.
Wyst. Christine Ebersole, Jonathan Ward. Reż. Steward Raffill
Na jednej z planet Układu Słonecznego ląduje amerykańska sonda kosmiczna. Zbiegiem przypadkowych okoliczności do jej wnętrza dostaje się rodzina ufoludków. Statek wraca z nimi na pokładzie i ląduje na Ziemi. Od tego momentu rozpoczyna się ciąg niewiarygodnych i przezabawnych wydarzeń, gdyż ufoludkom udaje się zbiec z ośrodka badań kosmicznych. Zabawa na sto dwa.

SATOMI HAKKENDEN (Legenda o ośmiu samurajach) — fantast.
Wyst. Hiroko Yakushimaru, Henry Sanada, Sonny Chiba. Reż. Kinji Fukasaku
Ta baśń fantastyczna dzieje się w odległych czasach, kiedy to na Ziemi dobro walczyło ze złymi mocami. Obraz opowiada o ucieczce księżniczki Shizu przed Mrokiem. Schronienie znajduje w małej wiosce u pewnego wieśniaka, który obiecuje jej pomoc. Wkrótce do pary bohaterów przyłączają się kolejno wędrujący przez kraj samurajowie. Mimo baśniowego charakteru opowieści film może zatrzymać przed telewizorem tak starszych, jak i młodszych widzów.

LA BAMBA — dramat obycz.
Wyst. Esai Morales, Rosana De Soto. Reż. Louis Valdez
Film dla dinozaurów (i nie tylko). Przedstawiona opowieść prezentuje losy Richie Valensa, który w roku 1958 rozpoczął w Kalifornii oszałamiającą karierę gwiazdy rocka. To właśnie on napisał i wylansował sławną do dziś na cały świat piosenkę „La bamba". Obraz przedstawia historię życia młodego Valensa, sukcesy na estradzie, pierwszą miłość i okoliczności jego tragicznej śmierci. To koniecznie trzeba obejrzeć (i posłuchać). Film stał się amerykańskim przebojem kasowym w latach 1987—88.

TANGO AND CASH — sens.
Wyst. Silvester Stallone, Kurt Russel. Reż. Andriej Konczałowski
Ten film od początku rusza z szybkością superekspresu. Oto dwóch policjantów z Los Angeles (o dwóch zupełnie różnych charakterach i nawykach) ma być wyeliminowanych przez terroryzującą miasto rodzinę mafijną. Tango i Cash trafiają do więzienia na podstawie spreparowanych zarzutów. Tam mają zostać zgładzeni. Udaje im się jednak uciec. Od tego momentu rozpoczynają polowanie na swoich prześladowców. To jest to!

VIDEO-KNOTY

EASY COME, EASY GO (Łatwo przyszło, łatwo poszło) — przyg.
Zgodnie z tytułem film ogląda się lekko i bardzo szybko chce się o nim zapomnieć.

THE DANGER ZONE (Strefa ryzyka) — horror.
Facet, który sfinansował takiego knota, nie wziął pod uwagę, że strefa ryzyka jest zbyt duża i film na pewno zrobi klapę.

STOOGEMANIA — kom.
Zamiast się śmiać przed ekranem widz dostaje białej gorączki i zgrzyta ze złości zębami.

PaS.

SAMO ŻYCIE

TRAGICZNE WAGARY

— Gęsty dym o zapachu palonej gumy uniemożliwiał widoczność. W pozycji kucznej po omacku zacząłem rękami szukać Michała, nic nie znalazłem. Nabrałem otuchy, że jego tam nie ma. I kiedy trochę odprężony podnosiłem się, przy ścianie rękami zaczepiłem o ciało, zaklinowane nogami między ścianą a rurą metalową tak mocno, że sam nie dałem rady wyciągnąć, pomógł mi sąsiad. Wyciągnęliśmy go na korytarz. Spalone włosy, twarz i ubranie, cały poparzony i okopcony, półotwarte nieruchomo powieki. Przywarłem do synka, zacząłem nasłuchiwać oznak życia... — z trudem wydobywa słowa ze ściśniętego gardła Marek W. Matka Michała mówić nie może, kryje w dłoniach spuchniętą od płaczu twarz.

Lekarz z karetki pogotowia ratunkowego podjął zabiegi reanimacyjne, lecz w karetce pędzącej do szpitala chłopiec zmarł.

Zanim wyciągnięto Michała, z ognia i dymu wybiegł Marcin. Coś krzyczał niezrozumiale, na plecach miał grzywę ognia. Ludzie polali go wodą, zerwali tlące się resztki ubrania. Karetka dowiozła go do Instytutu Pediatrii Państwowego Szpitala Klinicznego nr 1 przy ul. Staszica w Lublinie. Był w stanie krytycznym: poparzone 80 proc. powierzchni ciała. Mimo wysiłków lekarzy, zmarł nazajutrz, 20 marca 1991 roku.

Przybyła na miejsce tragedii policyjna grupa operacyjno-dochodzeniowa z KRP i V Komisariatu natrafia — wśród nadpalonych przedmiotów i popiołu znajdujących się w pomieszczeniu służącym do konserwacji zsypu — na szklane naczynie z płynem do układania włosów. Jak twierdzą specjaliści, nie ma on właściwości łatwopalno-wybuchowych.

Okazało się, że nadpaloną garderobę wyrzucono nie przypuszczając, iż będzie potrzebna. Na szczęście znaleziono buty typu Adidas, fragmenty dżinsowej kurtki z kluczami do mieszkania i zapalniczkę gazową w kieszeni.

Te szczątki przekazano do ekspertyzy chemicznej.

Strażacy sugerują, że pożar powstał w wyniku nieostrożności w obchodzeniu się chłopców z ogniem. Skąd wzięli się ci chłopcy właśnie tam?

— Od kilku miesięcy z Marcinem, Michałem i Mariuszem uczęszczałem do pomieszczenia nazywanego przez nas kantorkiem lub pakamerą — mówi 13-letni Tomek. — Klucz miał Mariusz. Na wystającej rurze położyliśmy taki plastykowy blat i przy świeczce lub zniczu nagrobkowym graliśmy w karty lub bawiliśmy się. W dniu dzisiejszym Michał i Marcin poszli tam wcześniej, a ja chciałem dołączyć do nich około godz. 17.30. Poczułem swąd dymu i wołanie kolegów „ratunku!". Krzyknąłem „biegnę po Roberta!" i poleciałem, bo on ma wytrych.

— Nie pamiętam, czy kazali się zamknąć, czy ja sam ich zamknąłem. Po półgodzinie wpada Tomek, żebym szybko wziął wytrych, bo tam coś się pali. Ludzie stali i patrzyli się. Kiedy próbowałem otwierać, od spodu szczeliną buchnął płomień na korytarz. Zza drzwi słyszałem stłumione krzyki Marcina, a mnie się ręce trzęsły z nerwów, ale jakoś otworzyłem — relacjonuje 15-letni Robert.

— Wybiegł palący się Marcin — przerywa mu Tomek. — Było dużo dymu i sam bałem się tam wejść, ale krzyczałem „ludzie, tam jeszcze jeden chłopak jest!" Ale dorośli też bali się wejść, no to pobiegłem na sąsiednią klatkę po rodziców Michała...

— Syn miał wrócić ze szkoły około 17.30. Tuż po piątej wbiegł Tomek i najpierw upewnił się, czy Michała nie ma w domu, a potem krzyknął: „proszę pana, Michał się pali i nie ma kto go wyciągnąć!" Wybiegłem jak oszalały... Wie pan, my w ogóle nie wiedzieliśmy, że w tym pomieszczeniu był jakiś klub, bo to następna klatka. Leżały tam ich torby uczniowskie, nadpalone. Oni wcale ich nie otwierali, bo nie poszli tego dnia do szkoły... To były w życiu Michała pierwsze wagary — ciężko oddycha ojciec.

Na pogrzeb przyszło wiele koleżanek i kolegów z rodzicami, nauczyciele i dyrekcja szkoły, do której uczęszczali obaj chłopcy. Padły słowa o śmierci dobrych uczniów i kolegów. O tym, że smutno będzie bez nich.

HENRYK MAKARSKI

NAPAD NA MELINIARKĘ

Maria Lewandowska miała już 89 lat, ale jak na swój wiek była bardzo żywotna. Po długich bojach z córką przekazała jej meliniarski interes, choć wcale to nie oznaczało, że nie interesowało ją zaopatrzenie czy klienci. Córka sprzedawała więc gorzałkę, a staruszka wkraczała do akcji wówczas, kiedy ktoś chciał zrobić z niej „balona".

Maria Lewandowska nie bała się złodziei ani chuliganów. — Przecież swój swojego nie ruszy — mawiała do znajomych, którzy ostrzegali ją, aby zamykała drzwi i okna, gdy córka zostawia ją samą w domu.

Wiesław Nierski lubił przychodzić do staruszki porozmawiać z kumplami. W ich towarzystwie czuł się dobrze, mógł wypić denaturat i nikogo to nie gorszyło. Jego rodzina nie mogła się pogodzić z tym, że 32-letni technik weterynarii stacza się na dno. Ojciec piastował dyrektorskie stanowisko, matka była zastępcą dyrektora szkoły podstawowej, siostra studiowała medycynę, a on się wykoleił.

Ostatnio Wiesław Nierski odczuwał dotkliwy niedobór pieniędzy. Do mety przychodził nadal i obmyślał diabelski plan. Zwierzył się kumplowi.

— Można by skubnąć babcię. Co ty na to?

Kumpel wytrzeszczył zamglone od wynalazków oczy i poruszył przecząco głową. A u Wieśka myśl o skoku wzmagała się wraz z narastającym głodem alkoholowym. A babcia-meliniarka wydawała się łatwą zdobyczą.

Zdecydował się w niedzielę 18 marca 1990 r. Dochodziła 12.00, kiedy zapukał do drzwi przy ul. Płockiej. Babcia zawahała się na moment, nie chciała go wpuścić, bo córka akurat wyszła z domu. Ale przecież swój swojego nie ruszy.

Chwilę później starsza pani otrzymała cios w głowę hydrauliczną rurką. Napastnik zasłaniał twarz rękami. Oszołomionej od uderzenia wyłamał palce i ściągnął obie obrączki, spod ceraty na stole zabrał 200 tys. zł. Spojrzał jeszcze raz na krwawiącą głowę meliniarki i czym prędzej się wyniósł.

O 13.00 dyżurny KRP został powiadomiony o napadzie na starszą kobietę w jej mieszkaniu. To dzwoniła córka meliniarki. Pogotowie zabrało staruszkę do szpitala. Grupa operacyjno-dochodzeniowa, która przybyła do mieszkania meliniarki, zabezpieczyła rurkę metalową i linie papilarne. Na podstawie zeznań świadków funkcjonariusze ustalili, że sprawcą napadu był 40-letni wysoki brunet, prawdopodobnie stały klient. Wkrótce na wniosek Policji prokurator wszczął śledztwo.

Tymczasem Wiesiek poczuł wyrzuty sumienia. Podczas jednej z pijatyk urządzonych za babciną zapomogę zwierzył się kumplowi, którego przedtem namawiał do skoku: — Za mocno ją grzmotnąłem, stary. Chyba przeżyje, co?

Potem już pił w milczeniu. Ze skoku pozostały mu jeszcze obrączki. Poprosił kolejnego kolegę o pomoc w znalezieniu kupca. Gdy wreszcie miało dojść do targu, usłyszał słowa, od których pociemniało mu w oczach: — Człowieku przecież to zwykły szajs ani złoto, ani srebro.

Krąg podejrzanych o napad na meliniarkę zawężał się. Zostało siedem osób, których rozkład dnia, zwyczaje były przez funkcjonariuszy dokładnie sprawdzane. Wśród nich znalazł się również Wiesław Nierski.

Rysopis, linie papilarne, zeznania świadków — wszystko wskazywało na niego. Po okazaniu świadkowie rozpoznali w nim sprawcę napadu na meliniarkę. Po dwóch miesiącach śledztwa prokurator rejonowy zastosował areszt tymczasowy wobec Wiesława Nierskiego. Orzeczona została również wobec niego zamknięta obserwacja psychiatryczna. Sprawca usprawiedliwiał się, że będąc w stanie nietrzeźwym nie wiedział, co robi, żałuje swojego czynu.

A co z babcią? Babcia-meliniarka po 2 tygodniach od zdarzenia wyszła ze szpitala. Siedzi teraz wtulona w fotel w swoim mieszkaniu, podlicza dzienne utargi, ale bardziej podejrzliwie niż kiedyś patrzy na swoich klientów.

JOLANTA SZUTKOWSKA

PS Personalia sprawcy i poszkodowanej zostały zmienione.

SPORT

„KOKAINOWY" DIEGO

Prywatne życie gwiazd ekranu, sportu, ludzi bogatych zawsze wzbudza zainteresowanie zwykłych zjadaczy chleba. Zarzuty o skandalicznym prowadzeniu się ludzi z pierwszych stron gazet czasami padają po to, by przysporzyć i tak już sławnym jeszcze większego rozgłosu, niekiedy jednak przytaczane szczegóły z przeszłości życia rodzinnego czy o utrzymywaniu pozamałżeńskich stosunków itp. mogą raz na zawsze rozwiać mit, jakim byli otoczeni.

Tak zapewne stanie się z boskim Diego, czyli znakomitym piłkarzem, współtwórcą sukcesów reprezentacji Argentyny Diego Armando Maradoną. Afery, których stał się bohaterem, mogą okazać się punktem zwrotnym w karierze sławnego kopacza piłki, a jednocześnie małego człowieka.

O tym, że genialny zawodnik Napoli znudził się włoskim krajobrazem, wiadomo już było od dawna. Diego wszem i wobec oświadczał, że chce opuścić Neapol, co nie spodobało się jego pracodawcom. Konflikt przybierał na sile.

Maradona grał wyśmienicie, Napoli sięgnęło po drugie w swej historii „Scudetto", a on stawiał coraz to nowe warunki. Doszło do bezprecedensowego zdarzenia. Maradona odmówił gry w pucharowym meczu Napoli — Spartak. Potem jednak zmienił zdanie i wynajętym samolotem przyleciał do Moskwy. Trener Arrigo Sacchi pozwolił mu wbiec na boisko dopiero w drugiej połowie meczu. Wyeliminowanie Napoli z dalszych rozgrywek przepełniło kielich goryczy. Wkrótce doszły kłopoty natury prywatnej. Panna Christiana Sinagra zażądała od niego alimentów na rzecz jej syna Diego juniora. Sąd zadecydował, że pozwany poddany zostanie testom DNA.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że niedawno ślub kościelny z Claudią był sensacją towarzyską, a relacje telewizyjne obiegły cały świat. O Maradonie było znów głośno.

W czasie, gdy Diego spędzał beztrosko czas u boku poślubionej koleżanki z podwórka i uroczych dwóch córeczek, karabinierzy aresztowali ośmiu handlarzy narkotykami, członków neapolitańskiej mafii „Camorra". Zanim do tego doszło, podsłuchiwano ich telefoniczne rozmowy i ze zdziwieniem skonstatowano, że pada w nich nazwisko uwielbianego nie tylko w Napoli piłkarza. O handel kokainą Maradonę podejrzewiły również miejscowe prostytutki.

Zdenerwowany Diego wysłał do swej ojczyzny żonę wraz z córkami, a następnie sam pod osłoną ciemności opuścił włoską ziemię. 29 kwietnia br. w ogłoszonym komunikacie FIFA stwierdzono, że Maradona zawieszony został „we wszelkiej działalności piłkarskiej na świecie". Niemiecki specjalista z dziedziny medycyny sportowej dr M. Donike powiedział, że w moczu piłkarza ujawniono ślady zażycia kokainy. Francuski lekarz Jean de Mondenard bronił 30-letniego gracza. „Różnica między przyjmowaniem koki dla przyjemności i stosowaniem jej jako dopingu w sporcie jest trudna do uchwycenia. To stary, dobry środek usuwający zmęczenie. Główny zysk wynikający z jej użycia, to komfort psychiczny sportowca".

Nie dane było Maradonie ukojenie rozkołatanych nerwów. Widać policja włoska podzieliła się swoimi spostrzeżeniami ze swymi kolegami z Argentyny, gdyż od tej pory każdy krok Maradony był śledzony. 26 kwietnia „El pibe de Oro" („Złoty malec") znalazł się w areszcie.

Został on przyłapany we własnym mieszkaniu przez sześciu policjantów z sekcji zwalczającej narkotyki. Znaleziono dwie porcje kokainy. Następnego dnia Maradona z rękami zakutymi na plecach w kajdanki przewieziony został do Pałacu Sprawiedliwości. Sędzia Amelia de Vidal zarządziła konfrontację Diego z jego dwoma przyjaciółmi aresztowanymi wraz z nim oraz przeprowadzenie badania krwi i moczu.

W ten sposób zostało rozpoczęte siódme postępowanie sądowe przeciwko mistrzowi świata z 1986 r., trzykrotnie dotyczyły one narkotyków.

Podzielone są opinie o kolejnym wyczynie legendarnego już piłkarza. „Osservatore Romano" stwierdził: „Jest mistrzem tylko na stadionie, nie potrafi być przykładem dla młodszych i zakochanych w futbolu. Argentyński piłkarz obnosi się ze swym bogactwem, czym dowodzi swego złego gustu i pogardy dla tych, którzy nic nie mają".

Prezydent Argentyny Carlos Menem ponoć bardzo bliski znajomy Maradony przekazał dziennikarzom następujący osąd „Trzeba zrozumieć tego chłopca. On jest po prostu chory. W dniu kiedy nastąpił upadek z piedestału, Diego został rozbity zarówno moralnie, jak i fizycznie. Trzeba mu pomóc. Musi się kurować...".

Mieszkańcy małej osady hiszpańskiej Murietta od lat kontynuują zwyczaj palenia na stosie lalek przedstawiających znienawidzone postacie, co ma tę osadę chronić od klęsk żywiołowych. Słomiana kukła Diego Maradony odpowiednio spreparowana wystawiona została na widok publiczny. Na początku czerwca zostanie spalona na stosie.

Zarabiający rocznie 3,4 mln marek Maradona stanie przed sądem. Za zażywanie narkotyków grozi mu kara 6 lat pozbawienia wolności, handel nimi wyceniony może być na 16 lat odosobnienia...

Nieco wcześniej jego fani w Neapolu zorganizowali zbiórkę pieniężną na wybudowanie na stadionie minipomnika Maradony. O, boski Diego, coś ty uczynił...

RAFAŁ ŁUKASZEWSKI
zdj. archiwum

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Rozwiązanie konkursu ogłoszonego w nr. 8/91 „Magazynu Kryminalnego 997": 1. Po raz drugi, 2. Józef Grudzień, 3. Ochraniacz podbrzusza. Nagroda za poprawne rozwiązanie konkursu przypadła panu Romanowi Strzałkowskiemu z Darłowa. Gratulujemy.

A oto kolejne pytania:

1. Która z drużyn gwardyjskich zakwalifikowała się do półfinału Pucharu Polski '91?
2. Który z polskich zawodników, jako pierwszy, zdobył medal podczas mistrzostw Europy w boksie rozgrywanych w Goeteborgu?
3. Niedawno odbyły się wybory prezesa PZT. Kto został nowym sternikiem polskiego tenisa?

Wśród czytelników, którzy w ciągu 10 dni przyślą rozwiązanie konkursu (z dopiskiem „Kibic doskonały") rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez redaktora naczelnego „MK 997".

Radca prawny odpowiada

PRACA SEZONOWA MAŁOLETNIEGO A EMERYTURA

Pan Kozulak Tadeusz z Jelcza-Laskowic po zakończeniu 13 roku życia pracował sezonowo w nadleśnictwie w okresie od 1 lipca do 31 sierpnia 1963 r. i od 1 lipca do 31 sierpnia 1964 r. Czytelnik pyta, czy okres tej pracy zalicza się do wysługi emerytalnej. W kwestii zaliczenia okresu pracy sezonowej do wysługi emerytalnej mają zastosowanie przepisy art. 9—13 ustawy z dnia 14 grudnia 1982 r. o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin (Dz.U. nr 40, poz. 267 z późn. zm.). Należy zaznaczyć, że w latach omawianego zatrudnienia Czytelnika, tj. w 1963 i 1964 r. a zatem przed kodyfikacją prawa pracy, zdolność do czynności prawnych w zakresie stosunków pracy była uregulowana w sposób szczególny w stosunku do kodeksu cywilnego m.in. w art. 52 ustawy z dnia 18 lipca 1950 r. — przepisy ogólne prawa cywilnego. Na podstawie wymienionego art. osoby ograniczone w zdolności do czynności prawnych (tj. małoletni, którzy ukończyli 13 lat oraz osoby ubezwłasnowolnione częściowo) mogły bez zgody przedstawiciela ustawowego zobowiązać się do świadczenia pracy, za wynagrodzeniem oraz dokonywać czynności prawnych, które też tyczyły stosunku wynikającego z takiej umowy. Przepis ten dla stosunków pracy pozostawał w mocy do czasu wejścia w życie kodeksu pracy. Umowy o pracę zawarte wówczas na podstawie tego przepisu z małoletnimi, zachowały swoją ważność, a okresy wykonywanej na ich podstawie pracy są zaliczane do wysługi lat dla celów emerytalnych.

GRAŻYNA GRZĄZEK

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: ELŻBIETA CIERLICA (redaktor naczelny 45-61-26, 20-54-18 lub MSW 149-70), Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK (red. graficzny), Krzysztof Kilijanek, JERZY KIRZYŃSKI (zastępca redaktora naczelnego, 45-61-72, 20-16-39), Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Leszek J. Sroka, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), Cezary Woliński, Krzysztof Zaczkiewicz (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki

ADIUSTATOR: Agata Guzdek-Wrotna

KOREKTA: Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: Maria Pawlak, 45-61-15

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: J. Bieniek, M. Misiewicz, M. Owczarek, A. Pałafij, A. Popielski, J. W. Wójcik.

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

Prenumerata na III kwartał wyłącznie z jednostek Policji.

Cena — 15 000 zł

Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu w III kwartale kierować pod adresem redakcji, ul. Ogrodowa 28/30, 00-896 Warszawa, tel. 45-68-66. Wpłaty należy dokonywać na konto OO NBP Warszawa 1052-7995-130 ZOJCP (prenumerata).

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo — 5000 zł, cm² — 7500 zł. Kolorowane dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 22 V 1991
zam. 4582
REDAKTOR DYŻURNY
Cezary Woliński

panorama 997

— A teraz niech mi pani opowie o sobie.

MYŚLI

Prawdziwie szanuje władcę ten, kto mu mówi o tym, co trudne.

MENCJUSZ

Swoboda i głęboka praca myśli, dążąca do zrozumienia sensu życia — oto dwa dary, nad które nic więcej człowiek nie zyskał.

ANTONI CZECHOW

Kłamstwa mówić nie wolno, niektórych prawd nie należy.

żydowskie

Zwalczanie obskurantyzmu w każdej formie jest nakazem chwili.

BOLESŁAW PIASECKI

ZAPAMIĘTAJ:
Dyskusja jest niemożliwa z kimś, kto twierdzi, że nie szuka prawdy, lecz ją posiada.
Romain Rolland

KRZYŻÓWKA nr 11

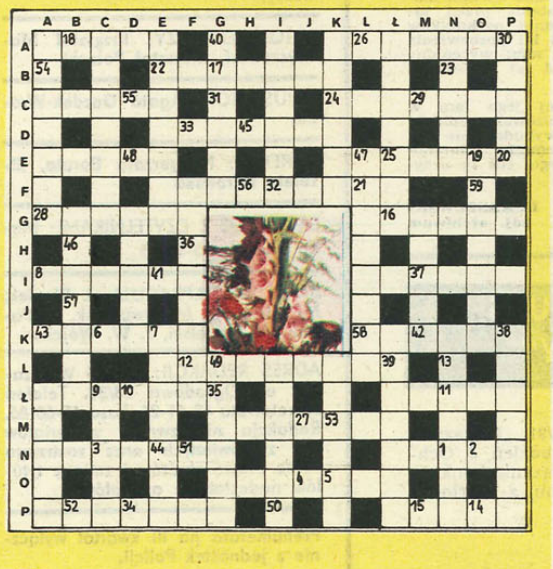

Litery z ponumerowanych pól, napisane w kolejności od 1 do 59, utworzą sentencję Boba Dylana, którą wystarczy nadesłać jako rozwiązanie.

Poziomo:

A) blizna na brzuchu ● grzyb dostarczający penicyliny. B) maszyna do kruszenia skał. C) gromada zwierząt żyjących razem ● rowkowana oprawka żarówki. D) wyraz podobny. E) najwybitniejszy liryk perski (1325—90) ● pas tkaniny służący dawniej żołnierzowi do okręcania nóg. F) plan wydatków. G) hałas, łomot ● roślina oleista. I) mur ● stos. K) gorące źródło wybuchające słupem pary i wrzącej wody ● zakończenie. L) drużynowa gra w piłkę. Ł) ptak pływający mający długi dziób z workiem ● postronek. M) substancja powodująca ścinanie białka, mająca zastosowanie w garbarstwie. N) w kuźni ● krewny w linii męskiej. O) opornik drutowy, stosowany do stabilizacji prądu elektrycznego. P) Polak starej daty ● filmowy Grek.

Pionowo:

A) ozdobna wielka świeca używana podczas obrzędów wielkanocnych ● ścinanie kosą. B) powierzchnia ściany ograniczająca pole okienne lub drzwiowe. C) człowiek z płaskostopiem ● podnośnik. D) pędzel do smarowania smołą. E) miasto w woj. wałbrzyskim ● jednostka organizacyjna lub bojowa lotnictwa. F) nauka o budowie, czynności i schorzeniach narządu słuchu i równowagi. G) pijak, opój ● polewa ze szlachetnej glinki, kładziona na naczynie z gliny gorszej. I) należy do umundurowania policjanta ● uzdrowisko. K) duchowny protestancki ● dawna nazwa miasta Wolin. L) mikokos, niedorostek. Ł) żebrzący mnich muzułmański ● spekuluje na towarach, których brak na rynku. M) piosenkarka polska pochodzenia greckiego. N) piłeczka do kometki ● ubiór wierzchni wkładany na pancerz. O) bajaderka lub ptyś. P) kobyła ● mała pięść.

SYLWESTER LIPIŃSKI

Wśród Czytelników, którzy w terminie 14-dniowym nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda w wysokości 50 tysięcy złotych. Na kartce pocztowej lub kopercie prosimy dopisać: „Krzyżówka nr 11".

CORAZ BLIŻEJ WŁADZY?

„Mafia i państwo są na Sycylii dwoma obliczami tego samego nieporządku" — napisała Marcelle Padovani. Na pytanie „jak zwyciężyć mafię?" wielki pisarz sycylijski, nie żyjący już Leonardo Sciascia, odpowiedział: „Trzeba skasować Chrześcijańską Demokrację". Według ocen sądów mafia kontroluje na Sycylii około 500 tys. głosów wyborczych, a więc połowę elektoratu chadecji. Zamordowany prefekt Palermo, gen. Carlo A. Dalla Chiesa, po swym spotkaniu z premierem zapisał: „Poszedłem na spotkanie z Andreottim i kiedy mu powiedziałem to wszystko, co wiem o jego przyjaciołach na Sycylii, zrobił się trupio blady".

We Włoszech, zwłaszcza południowych, mafia przeniknęła w legalne obiegi gospodarcze i finansowe. To nie całe państwo walczy ze zorganizowaną przestępczością, lecz niektóre jego sektory (sądownictwo, policja, wojsko). W 1976 roku, po 13 latach działalności, pierwsza komisja antymafijna włoskiego parlamentu zdecydowała większością głosów... obłożyć tajemnicą na 50 lat 42 pudła z wynikami swoich dochodzeń, przesłuchaniami i analizami. Dlaczego? Bo klasa rządząca uważa informację w kwestii mafii za bardzo niebezpieczną. Dopiero następna komisja kierowana przez komunistycznego senatora Gerardo Chiavomonte odważyła się w latach 1989 i 1990 na opublikowanie wyników swoich badań.

„Demokracja Chrześcijańska pozostaje partią numer jeden mafii — twierdzi dyrektor ośrodka dokumentacji im. G. Impastato Umberto Santino. Sądzi on, że — następuje coraz ściślejsze sprzężenie między legalnym a nielegalnym, dozwolone wskutek niejasności systemu ekonomiczno-finansowego i faworyzowane przez trwający proces kryminalizacji gospodarki i władzy".

„Mafia jest obecnością polityczną, która narzuca się jako rozwiązanie alternatywne dla demokracji" — mówi jezuita z Palermo, prof. socjologii Ennio Pintacuda. Z powodu swego zaangażowania przeciwko zorganizowanej przestępczości, ojciec Pintacuda został nazwany przez prezydenta Republiki Włoskiej F. Cossige „fanatycznym księdzem z Paragwaju".

Specyfiką społeczeństwa włoskiego — twierdzi „Le Monde diplomatique" — jest kompromis historyczny. Zawarła go władza polityczna z ciemnymi siłami, których głównym składnikiem jest zorganizowana przestępczość.

MAT

FRASZKI

SPOSOBEM

Ruszymy bryłę świata i my,
Gdy ją na bryłki rozkruszymy.

NA PEWNEGO PISARZA

Lżysz i łajesz tych z prawa i z lewa,
Dla każdego pod nogi masz kłodę.
W gąszczu obelg, pomówień i zniewag,
Nie pojmujesz, że cofasz się... przodem.

REFLEKSJE Z AKADEMII

Refleksje moje tak bym w skrócie ujął:
Zasłużeni odznaczonym gratulują.

JAN SZERSZEŃ

QUO VADIS AMERYKO?

W II półroczu 1990 r. gospodarka amerykańska utraciła 780 tys. miejsc pracy. 5,5 mln osób pracuje w niepełnym wymiarze czasu pracy. Podczas gdy w latach sześćdziesiątych tempo wzrostu stopy życiowej zapewniało podwojenie jej wysokości w ciągu 24 lat, to obecnie podwojenie to wymagałoby 52 lat. 32 mln Amerykanów (13 proc. ludności) żyje poniżej prawnie ustalonego progu ubóstwa.

Jak twierdzi „Le Monde diplomatique" zakończone niedawno 10-lecie świadczy o klęsce gospodarki USA oraz struktur społecznych. Za klęskę tę odpowiedzialny jest głównie Ronald Reagan. Stany Zjednoczone są zadłużone za granicą na 800 mld dolarów (w roku 1980 USA były wierzycielem na sumę 181 mld dolarów). Tempo wzrostu produktu narodowego brutto spadło w latach osiemdziesiątych do 2,6 proc., zmalały też inwestycje prywatne w gospodarce oraz zmniejszyły się oszczędności gospodarstw domowych.

Amerykanie ulegają coraz częściej zagranicznej ekspansji gospodarczej. Przedsiębiorstwa w USA wykupują najchętniej Japończycy, a także kapitał z zachodniej Europy.

Jak wynika z badań ankietowych aż 49 proc. Amerykanów od początku kryzysu w Zatoce Perskiej nie miało złudzeń, że wyzwolenie Kuwejtu jest kwestią zasadniczą. Byli oni przekonani, że chodzi o ropę naftową. Nic dziwnego, USA są coraz bardziej uzależnione od importu tego surowca (12 proc. pokrycia zapotrzebowania w 1970 r. i 36 proc. w roku 1987). Tymczasem zwycięska kampania iracka nie powstrzymała recesji gospodarczej.
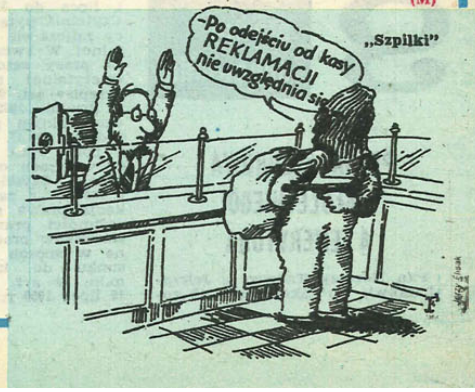
(M)